Cena 1 zł

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK X. Warszawa, 20 czerwca 1954 r. Nr (447) 25

W numerze:

KS. MICHAŁ BANACH — O miłości ojczyzny.
STEFAN ROHNER — Kazania na Dziesięciolecie Polski Ludowej.
WACŁAW AULEYTNER — Kapłan katolicki a postęp.
JAN STEFAŃSKI — W poszukiwaniu tajemnicy sztuki pisarskiej.
DANUTA KUCHARSKA-ZARZYCKA — W krakowskiej kamienicy.
ANTONI ŁUBKOWSKI — Krakowska dyrekcja Ludwika Solskiego.
MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI — Jubileusz aktora

ZYGMUNT LICHNIAK

R A Z E M

W dniach od 8 do 11 czerwca 1954 r. obradował w Warszawie Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich. Po referacie sprawozdawczym Leona Kruczkowskiego i referacie Kazimierza Brandysa pt. „Uwagi pisarza o sytuacji w literaturze" wywiązała się ożywiona dyskusja. Między innymi zabrał głos w sprawie udziału polskich katolików społecznie postępowych w życiu kulturalnym i literackim nasz krytyk literacki, członek kolegium redakcyjnego „Dziś i Jutro" — Zygmunt Lichniak. Tekst wygłoszonego przez niego przemówienia drukujemy poniżej w skrótach. Sprawozdanie z przebiegu obrad zamieścimy w następnym numerze „Dziś i Jutro".

REDAKCJA

ZJAZD, który obecnie obraduje nad kluczowymi sprawami współczesnej literatury polskiej, ma na pewno w dotychczasowej historii spotkań aktywu pisarskiego w naszym kraju miejsce najbardziej poczesne. Jest Zjazdem nie tylko — z racji swego bilansu doświadczeń dziesięciolecia — najbogatszym w treści retrospektywne. Jest jednocześnie, a przynajmniej być może, zaś na pewno już być powinien najbogatszym, najbardziej twórczym momentem introspekcji polskiego aktywu pisarskiego. Mówiąc o instrospekcji pisarskiego aktywu, nie chciałbym dziś już obawiać się — jak obawiać bym się musiał przed kilkoma laty — opacznego, złośliwego, czy czepialskiego rozumienia tego słowa. Nie chodzi mi — jak nigdy zresztą nie chodziło — o mętne psychologizowanie, o babrania się w egotycznych drobiazgach, wywracanie na nice jakiejś podszewki duszy. Mówiąc o introspekcji czołowego oddziału kulturotwórczego, jakim jest niewątpliwie aktyw pisarski, myślę o rzetelnej konfrontacji doświadczeń z zadaniami, zadań z możliwościami, możliwości z niebezpieczeństwami błędów. Mówię o tym, co w moim języku określiłbym jako generalny rachunek sumienia.

Ogólna sytuacja, w jakiej odbywa się nasz Zjazd, pozwala na to, aby proces poznania i poszerzenia naszej świadomości ideowo - artystycznej, proces, który nazwałem rachunkiem sumienia, sięgnął jak najgłębiej w człowieka, objął jak najszersze sfery jego zagadnień, wzniósł się na jak najwyższy, w każdym bądź razie wyższy, niż to było możliwe w latach poprzednich, poziom wiedzy o zadaniach, błędach i perspektywach twórczości artystycznej w Polsce Ludowej.

Kwietniowa Sesja Rady Kultury, korzystając z bilansu przemyśleń i zespołu wytycznych dla ogólnego życia kraju, jakich dostarczyło IX Plenum i II Zjazd Partii, kierowniczej siły narodu — wskazała zarówno w referacie Ministra Kultury i Sztuki, jak i w dyskusji, realne możliwości przeniesienia na teren literatury odważniejszego, pełniejszego, bliższego rzetelnemu humanizmowi traktowania spraw człowieka. Odwaga ta jest dowodem siły, siła dowodem zwycięstw, zwycięstwo dowodem słuszności drogi, którą kroczy nasz naród.

Dokonywanie generalnego rachunku sumienia, spojrzenie w głąb siebie podjęte w dziesięciolecie marszu nową drogą naszego narodu, wzmacniającego swoją jedność dziełem budowy sprawiedliwego ustroju — nakazują każdemu z nas potraktowanie dzisiejszych obrad jako obrad zobowiązujących do maksymalnej szczerości, do maksymalnej odwagi i maksymalnego, a więc i ściśle osobistego i społecznego i światopoglądowego zaangażowania w sprawy naszej literatury i jej dalszego rozwoju.

Wydaje mi się, że w obradach tego typu, jak dzisiejsze, powinien odezwać się głos kogoś, kto będąc jawnym katolikiem — jest socjalista, kto związany z niezmiennymi prawdami religijnymi, spośród zmiennych prawd historycznych wybrał najdojrzalszą, najpiękniejszą i najbliższą człowiekowi prawdę socjalizmu. Jest to głos dowodzący krzepnącej jedności naszego narodu.

Chciałbym mówić tym swobodniej i tym wyraziściej i szczerzej, im bardziej przemilczana i niesłusznie tym przemilczaniem lekceważona wydaje mi się sprawa, która leży mi na sercu, którą chciałbym złożyć w sumieniu zebranych. Chcę mówić o wspólnocie ludzi różniących się między sobą postawami światopoglądowymi. Chcę mówić o konsekwencjach kulturotwórczych tej wspólnoty, wynikającej z łączności głównych celów społeczno-politycznych. Chcę mówić o potrzebie pogłębienia współpracy, jaką dyktuje ta wspólnota, choćby współpraca wymagała polemiki i wyrazistych podziałów światopoglądowych, które nie muszą być podziałem wrogich sobie społecznie i politycznie obozów, a przeciwnie, mogą i powinny być, a w zbyt małej mierze są twórczą cyrkulacją myśli w jednym wspólnym obozie rewolucji socjalistycznej. W konsekwencji chcę mówić więc o uczestnictwie nie tylko w naszym życiu politycznym, społecznym, lecz również kulturalnym, a przeto i literackim, rozwijającego się ruchu polskich katolików społecznie postępowych. Chcę mówić o współudziale tego ruchu w dziele przebudowy świadomości nie tylko obywatelskie, ale i artystycznej, chcę mówić o obustronnych błędach, które poddane krytyce pomóc winny w stworzeniu właściwych perspektyw rozwoju.

W moim przekonaniu, a uważam, że przekonanie to stać się winno naszą wspólną własnością, nie uwzględnianie tych spraw w bogatej i złożonej problematyce naszego życia kulturalnego i literackiego jest tego życia mimowolnym zubożeniem, skrzywia jego obraz, nie odpowiada obiektywnej prawdzie dokonywających się procesów, sprzyca postulat jedności. Ponieważ jestem najświęciej przekonany, że wprowadzenie koniecznych zmian w tym zakresie posłuży wspólnej sprawie przyszłości naszego życia kulturalnego i literackiego, znajduję dla uzasadnienia swego wystąpienia nie tylko subiektywne, lecz i obiektywne przesłanki.

To dodaje mi śmiałości w kontynuowaniu mowy, którą w myśli nazwałem mową pogłębioną wspólnotą kulturotwórczą ludzi różnych postaw światopoglądowych.

„Nie żądamy od świata katolickiego, by przestał być światem katolickim. Wysuwamy tezę, którą słusznie nazwano teorią możliwości pokojowego współistnienia i rozwoju i wskazujemy rezultaty, które powinny być osiągnięte przez zastosowanie tej tezy w dziedzinie stosunków międzynarodowych, jak również w dziedzinie stosunków wewnętrznych w każdym państwie. Tak więc dążymy do takiego właśnie zrozumienia wzajemnego, które pozwoliłoby wszystkim uświadomić sobie, że obecnie stoi zadanie ocalenia cywilizacji i że dla urzeczywistnienia tego zadania, świat komunistyczny i świat katolicki mogą mieć takie same cele i współpracować dla ich osiągnięcia".

To są słowa Sekretarza Generalnego Komunistycznej Partii Włoch Palmiro Togliattiego, z mowy opublikowanej w „Unita" z dnia 12 kwietnia br. a przedrukowanej w całości w jednym z numerów „Dziś i Jutro". Słowa te, oczywiście, rozszerzone na dziedzinę aktywności kulturalnej i literackiej wprowadzają nas od razu in medias res.

Pozwólcie mi jeszcze podkreślić w przytoczonym cytacie dwa zdania — pierwsze i ostatnie: „Nie żądamy od świata katolickiego, by przestał być światem katolickim" i „Świat komunistyczny i świat katolicki mogą mieć takie same cele i współpracować dla ich osiągnięcia". Wpisana między te zdania zasada wyrażona została w sposób konkretny i zwłaszcza w warunkach włoskich — myślę tu o hanieb ych dla każdego katolika poczynaniach chadecji — w sposób szczególnie odważny. Przytoczyłem fragment tej wypowiedzi ze względu na wyrazistość myśli, nie jest to jednak zasada całkiem dla nas katolików społecznie postępowych nowa. Wyraził ją znacznie wcześniej polski modus vivendi Kościoła katolickiego w państwie socjalistycznym. Ukonkretniło ją Porozumienie z dnia 14 kwietnia 1950 r. Kilka lat ostatnich poszerzyło tę zasadę do możliwości współistnienia różnych światopoglądów w obozie rewolucji. Więcej: w aktywie rewolucji Rząd wyraził uznanie dla wielu księży i działaczy katolickich przyznając im wysokie odznaczenia państwowe. Kilku z nich, znanych aktywistów ruchu katolików społecznie postępowych wybranych zostało na przedstawicieli narodu w Sejmie. Niejeden z nich reprezentował Polskę za granicą. Komisja Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich przy Komitecie Frontu Narodowego cieszy się coraz większym autorytetem dzięki swej efektywnej działalności w awangardzie ruchu katolików społecznie postępowych.

Fakty te coraz większą mają wymowę i coraz bardziej są wyrazem postawy mas katolickich, na coraz dalszy plan spychając kryptoreakcyjne milczenie lub wręcz reakcyjne gesty, z każdym dniem samotniejszej grupy skłóconych z historią obrońców minionego. To wzmacnia proces przemiany świadomości katolików polskich, to zwiększa ich wkład w ogólne dzieło, to wzmacnia jedność narodu.

Pamiętając o tym, musimy jednak zainteresować się, czy słuszna linia rozwojowa, realizowana w życiu społeczno - politycznym i gospodarczym Polski, a zlakonizowana i uogólniona trafnie w cytowanej przeze mnie fragmentarycznie mowie Togliattiego znajduje również przekonujący wyraz w naszym życiu kulturalnym i literackim.

Wydaje mi się, że odpowiedź jest również zdecydowana, jest krótka: nie.

Oczywiście, problematyka kulturalna czy literacka jest bardziej złożona, bardziej unerwiona światopoglądowo. Oczywiście, twórcy katoliccy, zwłaszcza ci, którzy obarczeni byli błędami solidarystycznego czy korporacyjnego w zakresie społecznym mętniactwa lub błędami pozornej apolityczności dawali niejednokrotnie powody do nieufnego ich traktowania w obozie socjalizmu. Ale te wyjaśnienia nie tłumaczą istoty błędu zasadniczego. Wyrosła niesłuszna, bolesna i krzywdząca koncepcja partykularza katolickiego, realizowana przy decydującym udziale niekatolików.

W warunkach tej koncepcji operowano przemilczeniem twórczości katolickiej. Nie pomagało to jednak nikomu ani w doskonaleniu swej aktywności kulturotwórczej, ani w wydobywaniu się z ewentualnych błędów. Ten stan należy uznać nie tylko za niemoralny, nie tylko za nienaturalny, lecz za błędny politycznie i kulturalnie.

Mówię to z pozycji naszego wspólnego ogólnonarodowego dążenia ku jak najbogatszej, jak najbardziej wielostronnej i jak najrzetelniej służącej sprawom narodu literaturze. Mówię nie po to, aby jątrzyć i zadrażniać, lecz, aby zwrócić uwagę na możliwość usunięcia błędów, które mścić się muszą na całości sprawy. Mówię z ogromną wiarą, że sytuacja dojrzała do mądrych, umiejących korzystać z błędów, przemian klimatu kulturalnego. W klimacie tym musi znaleźć się miejsce na kulturotwórczą wieloświatopoglądowość. Musi dojść w literaturze, krytyce, w ogólnej aurze twórczości artystycznej do pogłębionego wzajemnym zaufaniem przymierza ludzi jednego obozu rewolucji socjalistycznej, choć różniących się sposobami widzenia świata, lecz nie pozwalających się poróżnić, jeśli idzie o pokój świata, jego postęp, jego lepszą przyszłość.

Katolicy muszą rozumieć i rozumieją coraz lepiej, dając wyraz temu rozumieniu w działalności konkretnej, że aprioryczna nieufność, aprioryczne dyskwalifikowanie ich postawy społeczno-politycznej z racji jej zaplecza światopoglądowego wynikało i w wielu wypadkach wynika ze... znajomości historii. Reakcyjne, konserwatywne uwarunkowanie katolików, przedwojenna tradycja ciemnogrodu, modlącego się za generała Franco — to wszystko, co splamiło w Polsce karty katolickiej myśli społecznej kleksami nieudolności i naiwnego mętniactwa, ciąży na dzisiejszej wiedzy niekatolików o katolikach. Ciąży w pewnej mierze słusznie. Słusznie w granicach psychologicznej i historycznej nieufności. Jednocześnie wszakże niekatolicy muszą w swej wiedzy o katolikach uwzględniać moment historycznego rozwoju, historycznych przeobrażeń świadomości społecznej. Rzeczywistość polska dostarcza dostatecznie dużo materiału, jeśli na nią spojrzy się z tego właśnie punktu widzenia. Myślę jednak, że popełniłbym nietakt popularyzując na tym zgromadzeniu raczej znane informacje o dialektyce przemian.

Wolę więc taktownie otworzyć nawias dla pewnej osobistej lecz przydatnej jako ilustracja dygresji.

Proszę państwa, miałem znajomego, młodego katolika, który z trudem lecz konsekwentnie dochodził

(Dokończenie na str. 8)

MODLITWY NA BOŻE CIAŁO

Nie może być wam dane ciało bez krwi; nie może być dana krew ani ciało bez duszy Słowa; nie może być dana dusza ani ciało bez mojej Boskości — Boskości Boga wiecznego. Jedno od drugiego jest nieodłączne. Jak ci już kiedyś powiedziałem, natura Boska nigdy nie oddziela się od natury ludzkiej: nie może ich rozdzielić nic, nawet śmierć. W Sakramencie tym, pod postacią białego opłatka, otrzymujecie więc całą istotę boską. Cały Bóg i cały człowiek jest w białej hostii — jest niepodzielny, tak jak niepodzielne jest słońce. Gdyby nawet możliwe było podzielić hostię na tysięce, tysiące okruszyn, pozostanę w każdej z nich — cały Bóg i cały człowiek, jak ci już powiedziałem. Tłukąc lustro nie dzielimy odbitego w nim obrazu, tak też rozdrabniając hostię nie dzielimy Boga, nie dzielimy człowieka — w każdej cząsteczce pozostaje cały Bóg-człowiek. Istota Jego nie jest przez to umniejszona.

Przypuśćmy, że kilka osób zbliża się do płomienia, aby zapalić odeń swoje świece. Jedna z nich ma świecę o jednej uncji, druga o dwóch, trzecia — o trzech, inna świecę wagi jednego funta, jeszcze inna — wagi kilku funtów. Wszystkie one zbliżają się do światła i każda z nich zapala swoją świecę. W każdej zapalonej świecy, bez względu na jej wielkość, widzi się światło w całej jego pełni — jego kolor, ciepło, jego blask. A jednak będzie ci się zdawało, że świeca o jednej uncji daje mniej światła niż ta, która waży funta.

Tak też bywa z tymi, którzy przystępują do tego Sakramentu. Każdy przynosi swoją świecę, a jest nią pobożne pragnienie, z jakim przystępuje do Sakramentu. Świeca jest zgaszona, ale zapala się z chwilą, gdy przyjmuje on Sakrament. Mówię, że jest zgaszona, ponieważ sami z siebie jesteście niczym. Dałem wam wprawdzie coś, dzięki czemu możecie otrzymać i zachować w sobie to światło; tym czymś jest miłość, stworzyłem was bowiem z miłości — bez miłości żyć nie możecie.

Św. Katarzyna ze Sieny, fragment z „Dialogów"

Boże wieczny i wszechmocny, oto mam przyjąć w Sakramencie Syna Twego jedynego, Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Chory, staję przed lekarzem, w którego ręku jest moje życie; zbrukany — pochylam się nad źródłem miłosierdzia; niewidomy — nad ogniskiem światłości wiecznej; ubogi i pozbawiony wszystkiego — korzę się przed Panem Nieba i ziemi.

Błagam więc Ciebie, Boże, którego wspaniałomyślność jest niewyczerpana w swym ogromie, abyś raczył uzdrowić moją niemoc, zmyć moje plamy, oświecić moją ślepotę, wybawić mnie z nędzy, okryć moją nagość — tak aby mi dane było przyjąć Chleb Anielski, Królu królów, o Panie nad panami, w pełni pokory i uszanowania, pobożności i skruchy, czystości i wiary, stałości w słowach i prawości intencji, od których zależy zbawienie mojej duszy.

Daj mi, błagam, nie tylko przyjąć Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej, ale też obdarz mnie całą płynącą z niego mocą. O Boże pełen słodyczy, dopuść, abym tak przyjął Ciało Twego jedynego Syna, Pana naszego Jezusa Chrystusa — to Ciało, które otrzymał on od Maryi Panny — abym stał się godzien wcielenia do Jego Ciała Mistycznego, godzien zaliczenia w poczet jego Członków.

Ojcze pełen miłości, oto mam przyjąć Twego umiłowanego Syna, zakrytego przede mną, który pielgrzymuję jeszcze przez to życie doczesne; dozwól, abym mógł Go kiedyś kontemplować twarzą w twarz, przez całą wieczność — Tego, który jako Bóg żyje i króluje z Tobą w jedności Ducha Świętego, na wieki wieków. Amen.

Św. Tomasz z Akwinu, „Modlitwa"

Tintoretto — Ostatnia Wieczerza

KS. MICHAŁ BANACH

O MIŁOŚCI OJCZYZNY*)

Najmilsi w Panu! Tysiąc lat dobiega od chwili, gdy Polska odrodzona została wodami Chrztu św. za czasów Mieszka I i odtąd stanąwszy na widowni dziejowej czerpać mogła ze źródeł cywilizacji chrześcijańskiej. W historycznym przekroju minionego tysiąclecia ukazuje się nam wspaniała linia rozwoju kultury religijnej i narodowej, które wychowały całe pokolenia polskie w poszanowaniu moralnego prawa Bożego, w szacunku dla tego, co dobre i szlachetne, w przywiązaniu do tego, co ojczyste, w miłości dla ewangelii i jej zasad.

Miłość Ojczyzny to miłość trwająca od wieków, wyrosła z przykazania Bożego nakazującego miłować ojca i matkę. Ta właśnie miłość stała się nie tylko czynnikiem cywilizacyjnym i umoralniającym, ale stała się także natchnieniem bohaterskich czynów, szlachetnych poświęceń, nauczyła oceniać wartość czynów ludzkich według wyższej miary aniżeli dobro własne jednostki.

Zastanówmy się bliżej nad tym, czym jest Ojczyzna. Na pojęcie Ojczyzny składa się kilka elementów. Ojczyzną bowiem nazywamy przede wszystkim ziemię przez nas zamieszkałą, ukochaną, zawsze dla nas najpiękniejszą, która nas przez całe życie nosi i żywi. Słusznie tedy nazywamy ją Matką naszą. Ojczyzna to nasz piękny wspólny język — podstawa wspólnej kultury, tak materialnej jak i duchowej. Można go przyrównać do krwi duchowej, która podobnie jak krew w żyłach płynąca odżywia cały organizm duchowy narodu.

Ojczyzna to również i religijna wspólnota narodu, stanowiąca jeden z najmocniejszych węzłów spoistości narodowej. Świadczy o tym historia choćby Śląska i innych części naszych Ziem Odzyskanych.

Ale Ojczyzna, to przede wszystkim lud zamieszkujący tę ziemię, mówiący wspólnym językiem swych przodków.

Wymienione elementy, jak ziemia, wspólny ród, mowa, religia, jakkolwiek stanowią części integralne pojęcia Ojczyzna, jednak go nie wyczerpują. Są raczej podstawą materialną tego pojęcia. Istotnym natomiast elementem są ludzie żyjący w jednym kraju, mający w pełni uświadomione poczucie wspólnoty narodowej, posiadający głębokie umiłowanie swej narodowej przeszłości, świadome narodowe przeżywanie teraźniejszości z perspektywą na wspólnotę dziejową w przyszłości.

Na pojęcie więc Ojczyzny w istotnym sensie składa się wewnętrzna duchowa więź obywateli z tymi wszystkimi, którzy odeszli do wieczności i z tymi, którzy przyjdą: więź stojącą na straży granic ojczystych, wspólnoty i czystości języka, religii, tradycji, kultury, państwowości.

Odbiciem, czyli zwierciadłem duszy narodu jest literatura, sztuka, wielkie zbiorowe czyny w obronie wolności i pokoju, a przede wszystkim, i to trzeba z całym naciskiem podkreślić, p r a c a i czyny tego narodu.

Ojczyzna jednakże, to nie tylko historia i tradycja — to przede wszystkim współczesne życie narodu, służba jego teraźniejszym interesom, udział w pracach i zadaniach. Kto miłuje tylko przeszłość Ojczyzny — ten nie miłuje jej wcale, kto zamyka się w historii — ten nie stwarza dla swej Ojczyzny perspektyw przyszłości. Kochając swój naród trzeba chcieć patrzeć w jego przyszłość z takim co najmniej zainteresowaniem, z jakim się spogląda na własne jednostkowe losy.

Kto kocha Ojczyznę, ten troszczy się o to, aby każdy jej członek, a nasz bliźni — miał warunki dla rozwoju swych fizycznych i duchowych możliwości, ten z całym wysiłkiem i ofiarnością walczy o podniesienie dobrobytu ludzi żyjących z nami w jednym kraju.

Każda miłość musi być miłością rozumną. Wartość prawdziwą może bowiem mieć tylko to, co świadome i tylko to, co prawdziwe.

Znamy aż nadto dobrze szowinistyczne wypaczenia miłości do Ojczyzny, abyśmy nie musieli się zastanawiać nad prawdziwymi źródłami miłości do Ojczyzny i nad tym, co powinno stanowić jej istotę.

Skąd płynie miłość do Ojczyzny? Jakie są jej źródła? Musimy stwierdzić na początku, że miłość do Ojczyzny jest obowiązkiem. Zgodnie z prawami rozumu i objawioną nauką Boga Ojczyzna stanowi w rzeczach doczesnych dobro największe, czyli, że po Bogu ona jest najwięcej miłości godna. Miłość do Ojczyzny nie jest pozostawiona człowiekowi do jego uznania, ale jest postulatem rozumnej natury ludzkiej i nakazem pozytywnego prawa Bożego.

Obowiązek miłości do Ojczyzny wynika także ze sprawiedliwości „Oddajcie, co cesarskiego cesarzowi, co Boskiego Bogu" (Mt. 22, 21). Sprawiedliwość domaga się oddania każdemu co mu się należy. Zrozumiałe więc, że wobec Boga, Ojczyzny i rodziców naszych jesteśmy zawsze niewypłacalnymi dłużnikami.

Jesteśmy dłużnikami tej Ojczyzny, w której żyjemy, tej, która trudzi się nad wznoszeniem i budowaniem lepszego jutra, tej Ojczyzny, która obchodzi w tym roku 10-lecie swego istnienia.

Nie jest to zależne od woli naszej czy upodobań. Obowiązek służby wynika dla nas z pozytywnego prawa Bożego, które tak wysoko stawia godność i konieczność tej służby.

Zastanówmy się tedy, Bracia, jak powinniśmy rozumieć obowiązek służby Ojczyźnie, aby spełniać go należycie, z poczuciem godności i odpowiedzialności, aby uniknąć błędów, które mogą wypaczyć sens tego wzniosłego pojęcia.

Obowiązek służby Ojczyźnie, wynika ze zrozumienia potrzeb społecznych naszych bliźnich. Ojczyzna to nie jest abstrakcja, to ludzie związani z nami przeszłością i teraźniejszością, z ich potrzebami i troskami — którym musimy służyć. „Przykazuję wam, abyście się społecznie miłowali" — powiedział Chrystus. Miłość do Ojczyzny jest wyrazem szeroko pojętej społecznej miłości bliźniego.

Kocha Ojczyznę ten, kto umiłował ziemię rodzinną, kto umiłował język ojczysty i kulturę narodową, tradycję i religię, kto odczuwa głęboką więź z przeszłością narodu, będąc dumnym z pięknych kart jego historii, kto w teraźniejszości kocha cały naród i każdego jego członka z osobna, czuje odpowiedzialność za bieg wypadków mu współczesnych, bierze żywy udział w pracach nad utrwaleniem, rozwiązywaniem i przekazywaniem przyszłym pokoleniom tego, co ojcowie w ciągu wieków wysiłkiem swoim zbudowali i w spadku zostawili. Kocha Ojczyznę ten, kto widzi i rozumie jej przyszłość, troszcząc się o lepsze jutro dla narodu i przyjmując na siebie współodpowiedzialność za przyszłe losy kraju nie zaniedbuje przy tym żadnej okazji do pracy nad budową nowych dróg, po których kroczyć będzie Ojczyzna w przyszłości.

Umiłowani Bracia! Miłość nasza do Ojczyzny wyrazi się najlepiej w pracy nad pomnażaniem jej dobra — musi to być miłość czynna. Pomnażać jej dobro wtedy będziemy mogli, gdy je będziemy znać, gdy będziemy w pełni świadomi jej potrzeb.

Zatem obok obowiązku realizowania dobra naszej Ojczyzny stoi przed nami obowiązek dokładnego poznania go, obowiązek zaznajomienia się z najważniejszymi dziedzinami naszego życia gospodarczego, społecznego, kulturalnego, obowiązek stałego podnoszenia swoich kwalifikacji, obowiązek ofiarnej, uczciwie wykonywanej pracy.

Każdy więc obywatel musi się starać o to, aby być najlepszym patriotą w całym swym postępowaniu osobistym, rodzinnym, społecznym. Wówczas w żadnym zawodzie, w żadnym urzędzie, na żadnej placówce nie będzie nieuczciwości, brakoróbstwa, lenistwa, egoizmu. Jakże bardzo nam, katolikom, do takiej postawy życiowej osobistej i społecznej dopomaga nasz Dekalog, jak w życiu rodzinnym wzmacnia więź społeczną dobrze pojęty i uczciwie zawarty związek małżeński, opromieniony i scementowany łaską sakramentalną Sakramentu Małżeństwa na całe życie w poczuciu pełnej odpowiedzialności wobec Boga i wobec narodowej społeczności. Jakże wreszcie jednoczy nas przy wspólnym Stole Eucharystycznym Ciało Chrystusowe nie tylko na żywot wieczny, ale i na wspólnotę Bożą w doczesności.

Bracia! Miłość do Ojczyzny wyrażać się będzie obroną interesów narodu, zwłaszcza tam, gdzie istnieje niebezpieczeństwo zagrożenia samych ich podstaw.

Bracia! Całą potęgę naszej Ojczyzny zniszczyć może wojna, którą rozpętać usiłują ciemne siły na świecie.

Przy obecnej formie prowadzenia wojen oraz istnieniu broni masowej zagłady w postaci bomby wodorowej — wołanie o pokój nie jest tylko służbą całemu narodowi, ale i ludzkości. Dodajmy tutaj, że rozpętanie wojny i użycie bomby wodorowej, i innych broni masowej zagłady nie może być nigdy i w żadnych okolicznościach usprawiedliwione przez etykę chrześcijaństwa.

Bracia! Musimy pamiętać o tym, że wiara nasza jakkolwiek ma za ostateczny swój cel nasze zbawienie wieczne, nie jest bynajmniej negacją naszego życia doczesnego. Życie to jest najściślej powiązane z warunkiem koniecznym przejścia do żywota wiecznego na podstawie zasług zebranych pozytywną pracą, w pierwszym rzędzie dla bliźnich według porządku miłości — ordo caritatis — w którym po Bożych sprawach na naczelnym miejscu stoi Ojczyzna.

Nie ma w naszych poglądach i postawie sprzeczności pomiędzy porządkiem doczesnym i pozadoczesnym. Wiemy, że Kościół chociaż z istoty swej jest społecznością o charakterze nadprzyrodzonym — głową tej społeczności jest sam Chrystus — to jednak żyje i rozwija się w warunkach doczesnych, uświęcając je przez nadprzyrodzoną misję, którą w tej doczesności pełni i popierając swym autorytetem wszystkie dzieła, które służą człowiekowi i jego dobru.

I oto, Bracia, my, katolicy w Polsce uczestniczymy w realizacji przemian społeczno-gospodarczych, jakie dokonują się w naszym kraju, chociaż ich sprawcami są ludzie o odmiennym od naszego światopoglądzie. Wszystko, co służy dobru człowieka duchowemu czy materialnemu, nie może pozostać nam obce. Wyrazem tej postawy było zawarcie w roku 1950 Porozumienia między Episkopatem Polski a Państwem, które zobowiązuje nas katolików w sumieniu.

Jeśli zastanowimy się, Bracia, nad problemem dlaczego Kościół, chociaż spełnia nadprzyrodzoną misję, pochyla się tak troskliwie nad doczesnością, zrozumiemy, że płynie to z głębokiej znajomości natury człowieka.

Człowiek nie jest czystym duchem, nie jest też i zwierzęciem — jest bytem rozumnym, do którego istoty przynależy dusza i ciało. Jeden i drugi element ma swoje miejsce i prawa i nie może być pominięty, gdyż oba one stanowią dopiero pełną naturę człowieka. Czyż nie ma między tymi elementami różnicy? Jest i to bardzo głęboka. Dusza w porządku natury jest czymś doskonalszym i w hierarchii ważności bytów jej przysługuje pierwsze miejsce. Ale obok tej hierarchii doskonałości bytów, obowiązuje człowieka inna jeszcze hierarchia potrzeb. I tu na pierwsze miejsce wysuwają się potrzeby materialne, cielesne człowieka.

Oto zgodzimy się wszyscy, że wychowanie dziecka jest sprawą wyższą w hierarchii ważności od karmienia dziecka, bo dotyczy spraw ducha, ale wszyscy wiemy, że najpierw trzeba dziecko wykarmić, aby móc je wychowywać. I tak jest z wieloma sprawami życia. Nie wolno zapominać, że ponad troskami materialnymi musi stać troska o zbawienie naszej nieśmiertelnej duszy — ale nie wolno nie dostrzegać też, że człowiek zgodnie z prawami natury musi mieć najpierw elementarne warunki dla zaspokojenia swych materialnych potrzeb — i tego lekceważyć nie wolno.

Rozumiemy teraz, Bracia, dlaczego Polska Rzeczpospolita Ludowa dąży do zaspokojenia materialnych potrzeb swych obywateli i dlaczego Kościół błogosławi każdy wysiłek, wynikający z prawa Bożego, a służący potrzebom człowieka — ukazując zarazem pozadoczesny sens tej pracy.

Umiłowani Bracia! Żyjemy w 10 roku istnienia Polski Ludowej. Musimy dojrzeć jak ogromny wysiłek podjęto w celu służenia człowiekowi i jak wielkimi cieszyć się możemy sukcesami.

Oto zmieniła się struktura społeczno-ekonomiczna naszego kraju, budujemy potężny przemysł, który otwiera nam drogę do stałego wzrostu dobrobytu, otoczyliśmy opieką ludzi pracy — weźcie tylko oświatę, lecznictwo i świadczenia socjalne.

Każdy z was, Bracia, pamięta, co się działo w Ojczyźnie naszej 10 lat temu. Spójrzmy na nią dzisiaj i jeśli zobaczymy braki i niedoskonałości — to niech one nie przysłaniają nam obrazu naszych osiągnięć, lecz pobudzają nas do większej i ofiarniejszej pracy na rzecz ogółu. Pracą naszą służymy Ojczyźnie — podnosząc jej dobrobyt i Kościołowi— spełniając swoje zadanie na ziemi.

Praca katolika jest nie tylko pracą dla Ojczyzny, ale jest zarazem i apostolatem przemawiającym najskuteczniej za twórczymi wartościami naszej wiary świętej — nie tylko nadprzyrodzonymi, ale i doczesnymi. Praca więc nasza zarówno osobista, jak i społeczna staje się najbardziej realnym i skutecznym powiązaniem obydwóch zasad: sentire cum Ecclesia i sentire cum Patria.

Bo przecież praca nad utrwaleniem, rozwinięciem, powiększeniem i przekazaniem tego, co ojcowie nasi w ciągu wieków duchowym wysiłkiem swoim zbudowali i nam w spadku zostawili — oto służba Ojczyźnie.

Kształtować własny charakter na modły najpiękniejszych wzorów, jakie wydała nasza ziemia, przykładem być dla innych w poświęceniu miłości bratniej, sumienności, uczciwości w spełnianiu codziennych obowiązków, oto służba dla Ojczyzny, ofiarna służba Bogu i bliźniemu, to najlepsza służba Ojczyźnie.

Przestrogą i zachętą niech nam będą słowa Jeremiasza proroka: „Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja. Niechaj przyschnie język do podniebienia mego, jeślibym na cię nie wspomniał, jeślibym nie pokładał Jeruzalem na początku wesela mego". Amen.

*) Ze zbioru kazań na 10-lecie Polski Ludowej, wydanych przez „Pax".

U PROGU DZIESIĘCIOLECIA

ZBLIŻAJĄCY się dzień obchodu 10-lecia Polski Ludowej poprzedzają organizowane w całym kraju zebrania działaczy Frontu Narodowego, na których są czynione przygotowania i omawiane zagadnienia godnego uczczenia dnia wyzwolenia Ojczyzny. W dniu 10 czerwca br. odbyła się z tej racji w Warszawie krajowa narada poszerzonych aktywów Wojewódzkich Komisji Duchownych i Świeckich Działaczy Katolickich Frontu Narodowego.

Obrady, które toczyły się pod przewodnictwem ks. prof. dr Jana Czuja — przewodniczącego Prezydium Komisji, wykazały dalszy wzrost autorytetu Komisji wśród społeczeństwa katolickiego oraz poważny jej wkład w realizację zadań ogólnonarodowych.

Działalność Komisji przyczynia się w doniosłym stopniu do głębokiego uświadomienia społeczeństwa katolickiego w Polsce Ludowej heroicznych dokonań naszego narodu na polu odbudowy zniszczonego wojną kraju i przebudowy jego struktury społeczno-politycznej. Uświadomienie to znajduje swój wyraz w aktywnej postawie działaczy duchownych i świeckich, w ich stosunku i ocenie problemów światowych i wewnętrznych. Szczególnie ważne i instruktywne dla społeczeństwa katolickiego w Polsce są ostatnie wypowiedzi ośrodków katolickich czy też poszczególnych znanych działaczy duchownych i świeckich, potępiające amerykańskie eksperymenty z bombą wodorową.

„Zgodnie z dotychczasowym stylem naszej działalności — mówił jeden z referentów, red. Mikołaj Rostworowski — sekretarz Komisji Krajowej — praca Komisji także i na obecnym etapie będzie się ześrodkowywała wokół określonych zadań praktycznych, wynikających ze szczegółowej analizy sytuacji ideowo-politycznej i aktualnych potrzeb społecznych. 10 rocznica powstania naszej ludowej państwowości stwarza słuszną okazję do wiązania z nią jako naczelnym, mobilizującym hasłem programowym całej działalności ruchu społecznie postępowego katolików polskich".

W ożywionej i głębokiej dyskusji, w której zabierało głos wielu duchownych i świeckich działaczy, podkreślano najważniejsze zadania ruchu społecznie postępowego katolików polskich z racji współodpowiedzialności mas katolickich za pracę służącą wspólnemu dobru narodu polskiego i podkreślenia przez katolików polskich ich głębokiego patriotyzmu i wiary w perspektywę rozwoju życia religijnego w ustroju socjalistycznym. Na szczególne podkreślenie zasługuje wypowiedź Bolesława Piaseckiego, który omawiając zadania i udział katolików społecznie postępowych w obchodach poświęconych uczczeniu 10-lecia podkreślił, że udział ten nie może być tylko formalnym, lecz winien stać się punktem wyjścia dla nowej ofensywy ideologicznej Komisji.

Istnieje jednak kilka warunków nieodzownych do tego, by ofensywa ta była ofensywą skuteczną. Jednym z tych warunków — bez dopełnienia którego nie można mówić o skuteczności działania żadnego ruchu ideowego — mówił Bolesław Piasecki — jest rozumowe widzenie słuszności postawionego zadania i dostrzegania realistycznej, budzącej ufność perspektywy. Jeśli nie posiada się tej perspektywy, każde działanie musi być połowiczne.

Omawiając perspektywy, jakie przed katolicyzmem polskim stawia rozwój wydarzeń międzynarodowych, stwierdza Bolesław Piasecki, że katolicy polscy zainteresowani są żywo postawą katolicyzmu światowego. Postawa ta wpływa bowiem decydująco na postawę świata chrześcijańskiego, co z kolei ma duży wpływ na kształtowanie się postawy wszystkich ludzi wierzących. Przed tymi wszystkimi ludźmi stają zaś domagające się natychmiastowych rozstrzygnięć alternatywy. Socjalizm — czy kapitalizm, kolonializm — czy wyzwolenie, wreszcie wojna — czy pokój, oto pytania żądające od każdego rozumnie myślącego człowieka zdecydowanej i jednoznacznej odpowiedzi. Pytania te zsumowały się obecnie i przed całym światem stanęła alternatywa epoki: katastrofa — czy rozwój cywilizacji.

Alternatywa ta tak głęboko sięga w istotę katolicyzmu, że nie może pozostać nierozstrzygnięta, że musi być rozstrzygana stale, codziennie. Alternatywa ta stoi obecnie przed całym katolicyzmem, przed całym Kościołem.

Jest rzeczą oczywistą, że trzeba w związku z tym określić na czym polega siła społeczna Kościoła Powszechnego. Siłą tą jest konsekwentna wiara, jest nią miłość Kościoła i katolicyzmu. Siła ta musi odnieść zwycięstwo. O zwycięstwie tym zadecyduje powiększająca się stale ilość katolików, którzy wybrali właściwe rozwiązanie, zgodnie z duchem ich wiary.

Obserwujemy ciągle narastające przejawy konkretnej działalności tej siły, obserwujemy wyciąganie wniosków praktycznych z posiadanego światopoglądu. Nie tylko zresztą katolicyzmu dostrzegają tę rozwojową siłę katolicyzmu, doceniana jest ona coraz pełniej przez innych. Świadczą o tym silne akcenty zawarte w przemówieniach Togliattiego, będące dla katolicyzmu optymistyczną nutą i świadczące o tym, że droga rozwojowa ruchu społecznie postępowego była drogą prawidłową.

Następnie Bolesław Piasecki przeszedł do omówienia zadań ruchu społecznie postępowego wynikających z rozwoju sytuacji wewnętrznej. Ruch społecznie postępowy prowadzi walkę na dwóch zasadniczych frontach. Pierwszym z nich jest front walki negatywnej, gdzie zwalcza się i likwiduje przejawy reakcyjnej postawy duchowieństwa, przejawy zacofania, relikty feudalizmu. Drugi front, to front walki pozytywnej, na którym ruch społecznie postępowy stara się tworzyć nowe wartości, przebudowywać świadomość społeczeństwa katolickiego, przechodząc do twórczej, konstruktywnej ofensywy ideowej.

Ofensywa ta winna skierować się przeciw postawie będącej dziś typową dla wszystkich jawnych i skrytych przeciwników ruchu. Na tym etapie nie jest to już postawa jawnego przeciwstawienia się, jest to natomiast postawa, którą cechuje neutralizm, oportunizm, sceptycyzm i obojętność wobec wielkich alternatyw, nie pozwalających na zachowanie ani neutralności, ani obojętności.

Znajdujemy się obecnie w tej fazie ruchu i w tej fazie odpowiedzialności za postępowanie katolików, kiedy postawę reakcyjną wyraża się nie w czynieniu rzeczy złych, lecz w nieczynieniu rzeczy dobrych. Na walce z taką postawą powinna się koncentrować zatem cała istota ruchu społecznie postępowego.

W dalszym ciągu swego przemówienia Bolesław Piasecki podkreślił, że najważniejszym zadaniem doby obecnej jest ukazywanie twórczych sił katolicyzmu. Stale i konsekwentnie trzeba powiększać, pogłębiać i ujawniać twórczą rolę inspiracji światoglądu katolickiego w życiu społecznym. Typowym przykładem tej pracy jest zapoczątkowana przez ruch społecznie postępowy konkretna działalność na odcinku rolniczym.

Z kolei mówca poruszał zagadnienia związane z wewnętrznymi zagadnieniami ruchu. Trzonem ruchu są ludzie dostrzegający intelektualny i etyczny związek zachodzący między postawą reprezentowaną przez Komisję w stosunku do świata socjalistycznego, do obozu pokoju a światopoglądem katolickim. Ten związek między postawą społeczną a światopoglądem trzeba widzieć i umacniać. Trzeba doprowadzić do tego, by jasno i wyraźnie widzieli to wszyscy działacze Komisji, bo w ten sposób będzie rósł potencjał ruchu, a działalność ruchu zyska jeszcze głębszą podbudowę ideową.

Na zakończenie obrad zebrani wystosowali apel do Księży w Polsce w sprawie obchodu 10-lecia Polski Ludowej, w którym m. in. czytamy:

Duchowni i świeccy katoliccy działacze Frontu Narodowego zgromadzeni na masowej naradzie Komisji Krajowej w Warszawie, świadomi, iż należy dać szczególny wyraz opartemu na katolickiej inspiracji światopoglądowej uczestnictwu ludzi wierzących w dzieło społeczno-gospodarczego rozwoju naszej Ojczyzny i ochrony światowego pokoju przed nadużywającymi haseł religijnych amerykańsko-niemieckimi roszczeniami rewizjonistycznymi — apelują do wszystkich księży w Polsce, ażeby w niedzielę poprzedzającą datę obchodu 10 rocznicy ogłoszenia Manifestu Lipcowego tj. w dniu 18 lipca br.:

a) odprawili Msze święte w intencji pomyślności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

b) wygłosili w trakcie Mszy św. kazania opierając je m. in. na materiałach zawartych w uznanym przez Władze Kościelne zbiorze pt. „Kazania na dziesięciolecie Polski Ludowej".

Obrady Komisji zostały zamknięte rezolucją w sprawie broni masowej zagłady. „Jesteśmy przekonani — mówi rezolucja Komisji — że świat katolicki w skali międzynarodowej, że katolicy wszystkich narodów winni w tej walce w obronie cywilizacji odegrać należną im rolę i w tym kierunku mamy obowiązek ich mobilizować, nie zaniedbując żadnej inicjatywy. Jest naszym obowiązkiem wyzyskać wszystkie możliwości, aby ten ruch w obronie cywilizacji jak najbardziej rozszerzyć, zapewniając mu przez to jak największą skuteczność". (z)

STEFAN ROHNER

KAZANIA NA DZIESIĘCIOLECIE POLSKI LUDOWEJ

NAKŁADEM Wydawnictwa PAX ukazał się ostatnio zbiór okolicznościowych kazań poświęconych uczczeniu 10-lecia istnienia Polski Ludowej. Kazania opracowane przez znanych społeczeństwu katolickiemu kapłanów a zarazem działaczy społecznie postępowych i opatrzone aprobatą władzy kościelnej stanowią ważne wydarzenie dla katolickiego ruchu społecznie postępowego w Polsce, wydarzenie domagające się głębszego naświetlenia ukazującego ich istotny sens i treść.

*

DZIESIĘCIOLECIE Polski Ludowej na ambonie? Czyż to nie jest nieporozumienie — zapyta ktoś daleki od problematyki jaką żyją dziś katolicy w Polsce.

Czyż Kościół może odkładać choć na chwilę swą szczytną misję głoszenia owych „Magnalia Dei" — wielkich spraw Bożych, by podejmować sprawy tak zdawałoby się dalekie i nic wspólnego z nimi nie mające? Czyż mówienie o doczesności nie jest rezygnacją z pełnienia wielkiej misji prowadzenia ludzi do Boga, uświęcania człowieka w jego drodze do prawdy?

W takim postawieniu problemu widzimy jednakże błąd zasadniczy.

Kościół, chociaż pełni misję nadprzyrodzoną, żyje tu na ziemi, pochyla się troskliwie nad doczesnością i nie są mu obce sprawy tego świata, choć żadnej nie będzie uważać za swoją i choć królestwo Jego nie jest z tego świata. Kościół jest transcendentny wobec historii, nie zamyka się w żadnych formach ustrojowych i politycznych — ale w każdej musi rozwijać swą apostolską działalność, do której został powołany; w każdej epoce prowadzi człowieka ukazując mu niezmienne prawdy naszej wiary i ich zastosowanie do codziennego życia.

Postęp historii, ciągła zmiana warunków życia człowieka na ziemi nakłada na nas obowiązek ciągłego sprawdzania, czy realizacja podstawowych nakazów naszej wiary jest adekwatna wobec epoki. Wiemy dobrze, że prawdy naszego światopoglądu są niezmienne w swej istocie; zostały nam objawione przez Boga — dotyczą więc spraw Bożych potrzebnych człowiekowi do rozpoznania swego celu. Lecz prawdy te stanowią tylko fundament, na którym każda epoka wznosi nowe budowle — chrześcijańskiego życia i doskonałości. Światopogląd katolicki nie jest ukończoną całością, którą wieki przekazują sobie w niezmiennej postaci, jest on raczej zadaniem dla nas, którzyśmy otrzymali prawdę, zadaniem polegającym na wcielaniu tej prawdy w ciągle rozwijające się i zmieniające życie.

Te stwierdzenia leżą u podstaw założeń ideologicznych ruchu społecznie postępowego. Prawdy naszej wiary są wieczne w swej istocie, ale mogą być martwe w nas i w czasach, w które wchodzimy. Stąd płynie nasza gorąca troska o przeniesienie wszystkich wartości katolicyzmu w nową epokę.

Aby dzieła tego dokonać, aby stwarzać warunki dla jego realizacji trzeba znać sens współczesnej historii, trzeba ukochać wszystko to, co słuszne i dobre w nowym świecie. Kochać to znaczy realizować, pomnażać i służyć temu dobru.

Wyrazem tej postawy są właśnie kazania na 10-lecie Polski Ludowej.

Katolicyzm w Polsce zetknął się przed 10-cioma laty z rewolucją socjalistyczną, na czele której stali ludzie o odmiennym od naszego światopoglądzie. Było rzeczą dojrzałości dostrzec poza tymi różnicami wspólne i bliskie katolickim ideom cele społecznej i gospodarczej przebudowy kraju w duchu sprawiedliwości. Toteż od początku znaleźli się katolicy, którzy chcieli przyłożyć rękę do wspólnego dzieła, którzy wykazywali jednocześnie otwarcie z jakich pobudek to czynią: oto ich światopogląd oparty na prawie miłości do Boga i człowieka inspiruje ich do walki o sprawiedliwe formy współżycia ludzi na świecie, uwrażliwia na krzywdę społeczną, nakłania do twórczego wysiłku i pracy dla wspólnego dobra. Od chwili ukształtowania się pierwszych ośrodków katolickiego ruchu społecznie postępowego jego przedstawiciele zabiegali gorliwie o powiązanie troski o dobro Kościoła w Polsce i Narodu. Gdybyśmy chcieli odnaleźć dominantę określającą kierunki rozwoju ruchu społecznie postępowego katolików w Polsce, to można z całą ścisłością powiedzieć, że była nią od początku istnienia ośrodków ruchu idea porozumienia między Kościołem a Państwem, idea, w której najgłębiej wyrażała się troska o dobro Kościoła wchodzącego w nową epokę historii oraz troska o dobro Państwa podejmującego trud budowy nowych warunków życia społeczno-gospodarczego w Polsce. Idea porozumienia wiążąca sprawę rozwoju apostolatu Kościoła ze sprawą narodu i służby jego żywotnym potrzebom leżała u podstaw całej działalności ruchu społecznie postępowego; praca i wysiłek jego przedstawicieli skierowane były na realizację Porozumienia oraz pogłębianie motywacji ideowych naszego uczestnictwa, jako katolików, w społeczno-gospodarczej przebudowie naszego kraju.

Kazania na dziesięciolecie Polski Ludowej wyrosły na glebie Porozumienia; nie można oderwać faktu ich ukazania się, ich sensu i treści od atmosfery zrodzonej z gorącej troski o prawdziwe dobro Kościoła i Ojczyzny.

*

ZBIOREK wydanych przez PAX kazań (w liczbie 7) porusza najbardziej zasadnicze problemy, którymi żyje Naród Polski obchodzący 10-lecie istnienia odrodzonej Ojczyzny, stawiając je w świetle pierwszych i zasadniczych nakazów naszej wiary i moralności. Jest to jednocześnie rodzaj obrachunku z naszym sumieniem. Widzimy osiągnięcia, z których możemy być rzeczywiście dumni. Pogłębiamy motywację służby i wierności zadaniom, która zmobilizuje nas do bardziej świadomej pracy dla Polski.

Życie współczesne stawia przed nami tak wiele problemów, przed którymi nie można uciec i o których nie wolno milczeć. Autorytet społeczny Kościoła budować się będzie tylko poprzez wykazywanie, że wiara nasza uzdalnia do życia i podejmowania jego zagadnień w każdej epoce.

Czyż problem społecznej miłości bliźniego, od strony jego realizacji nie domaga się nowego ujęcia, skoro życie społeczne tak wielkie i nowe czyni postępy? „Miłość bliźniego odnoszącą się do jego potrzeb doczesnych — czytamy w jednym z kazań — trzeba tak przetłumaczyć na język ludzki naszego wieku: stworzyć takie formy współżycia, aby uwzględniały równe prawa do rozwoju wszystkich ludzi... Nie będziemy dobrze realizować przykazania miłości bliźniego jeżeli damy ubogiemu kromkę chleba, a nie sięgniemy do przyczyny jego nędzy — przyczyny, która jest nam doskonale znana".

Czyż nie należy przypominać dziś, kiedy obserwujemy heroiczny wysiłek ludzi budujących naszą przyszłość, wartości pracy człowieka, jej godność polegającą na uczestniczeniu w Bożym dziele stworzenia zwłaszcza, że są pośród nas tacy, którzy chcieliby traktować ją wyłącznie jako problem zdobywania środków utrzymania.

Czyż nie trzeba przypominać o miłości do Ojczyzny, która zgodnie z nakazami pozytywnego prawa Bożego jest po Bożych sprawach najwyższą dla nas wartością. Trzeba rozumieć czym jest Ojczyzna, aby prawda tak wysoko ceniona w naszym światopoglądzie nie pozostała martwa.

Oto kilka tylko tematów zaczerpniętych z całości kazań. Ich treść i forma pozwala wyrazić przekonanie, że kazania przyczynią się do dalszego wzrostu autorytetu społecznego ruchu społecznie-postępowego oraz do dalszego pogłębienia świadomości naszej ideowej postawy.

WACŁAW AULEYTNER

Dyskusja o kapłanie społecznie postępowym

KAPŁAN KATOLICKI A POSTĘP

W artykule W. Kętrzyńskiego „O działalności księdza społecznie postępowego" autor pisze: „Obserwujemy, niestety, czasami następujące zjawisko. Pod naciskiem natarcia reakcyjnej opinii niektórzy księża społecznie postępowi rezygnują z wszelkich prób oddziaływania na innych księży, unikają dyskusji i konfrontacji poglądów".

Stwierdzenie to ma charakter niezmiernie ważny dla oceny rzeczywistości, ale autor przechodzi obok niego nie pogłębiając go. nie zastanawiając się nad genezą takiego stanu rzeczy i otwierając tym samym możliwość dyskusji. Wydaje się, że problem tkwi w tym, że niekiedy ksiądz społecznie postępowy nie ma jeszcze w niektórych punktach skonkretyzowanych podstawowych zagadnień światopoglądowych, i że nie podejmuje dyskusji na skutek braku argumentacji, którą mógłby się swobodnie posługiwać przy konfrontacji swoich poglądów z poglądami swych dyskutantów. Oczywiście nie należy zagadnienia tego generalizować, istnieje bowiem wielu światłych kapłanów głęboko rozumiejących i przeżywających tę problematykę.

Jednym z podstawowych zagadnień światopoglądowych jest stosunek kapłana katolickiego do zagadnienia postępu. O postępie można mówić w sensie rozwoju nauki i techniki, kultury i cywilizacji, można mówić szczegółowo o prawach rozwoju społecznego, można wreszcie traktować postęp bardzo ogólnie jako pewną konieczność historyczną wynikającą z istoty świata będącego dziełem Bożym.

Artykuł niniejszy ma właśnie ukazać zagadnienie postępu od strony działania Opatrzności w świecie i od strony ustosunkowania się kapłana społecznie postępowego do najogólniej pojętego problemu rozwoju i doskonalenia świata jako całości.

OPATRZNOŚĆ I POSTĘP

BÓG stworzył świat z niczego. Stworzył go jako całość, z jego pięknem i bogactwem, z tym co duchowe i materialne, z jego doskonałością i niedoskonałością. Wszystko, cokolwiek jest, cokolwiek można nazwać jakimś bytem, jest dziełem Bożym. Dziełem Bożym również są prawa rządzące przyrodą i prawa rozwojowe świata, dziełem Bożym jest człowiek rozumny i wolny, któremu Stwórca w swych boskich planach wyznaczył zadanie „czynienia sobie ziemi poddaną", zadanie doskonalenia świata. Chrystus określił również cele działalności człowieka, którymi są w porządku wiecznym wiekuiste zbawienie, w porządku zaś doczesnym dążenie do realizacji planów Bożych na ziemi. Bóg jest jedynym i nieograniczonym władcą świata, jedynie Bóg działa i tworzy w pełnym tego słowa znaczeniu. Człowiek jest tylko współpracownikiem Boga, realizatorem Jego zamierzeń. Toteż do skończenia świata Bóg działać będzie i człowiek działać będzie razem z Nim, urzeczywistniając rozwój świata. Nie jest prawdziwe twierdzenie, że wiara w Boga zakłada jedynie dążenie ludzkie do doskonalenia duszy i do zbawienia odrywając człowieka od świata. Np. doskonalenie tego świata, czyli cele doczesne nie stoją w kolizji z celami wiecznymi, lecz są z nimi w harmonii. Chrystus przyszedł na ziemię, by nas zbawić; pokazał nam też konkretne ziemskie życie prowadzące do Boga. Świat jest Boży tak jak człowiek odkupiony przez Jezusa jest Boży. I z tego trzeba sobie jasno zdawać sprawę. Nadprzyrodzonym celem jednostki ludzkiej jest zbawienie, a jego celem doczesnym jest doskonalenie świata, jest realizacja boskich planów. W najogólniejszym ujęciu zagadnienie doskonalenia człowieka i świata, postęp ludzkości jest realizacją przez człowieka Bożych zamierzeń.

ISTOTA I GENEZA POSTĘPU

POSTĘP urzeczywistnia się w czasie, w ramach historycznych przemian. Człowiek czerpiąc z dorobku minionych pokoleń buduje teraźniejszość w trosce o przyszłość. Dorobek kulturalny narasta tym sposobem, przechodzi z pokolenia w pokolenie, mimo że same dzieła, kształty i formy, które zawierał, ulegają zniszczeniu, ogołacają się z niepotrzebnego balastu, by przejść do przyszłości tylko w najważniejszych zarysach stanowiących istotę ich wartości.

Postęp rodzi się w zetknięciu człowieka ze światem, poprzez pracę. Człowiek podlega konieczności walki o byt, o życie, o codzienne pożywienie, mieszkanie i ubranie. Człowiek pracując, „czyniąc sobie ziemię poddaną", poznaje prawa rządzące przyrodą, tym samym rozwija się i doskonali tworząc coraz to doskonalsze twory, które z kolei pozwalają na dalsze jego doskonalenie się osobowe. Ta współzależność rozwojowa poznania i doskonalenia przyrody oraz rozwoju i doskonalenia człowieka jest istotą postępu wypływającą z podstawowej misji człowieka na ziemi jaką jest dążenie ku zbawieniu osoby ludzkiej i doskonaleniu świata. O tym postępie dokonującym się przez świadome zetknięcie się człowieka z rzeczywistością pisze ksiądz Salamucha: „Normy prawa naturalnego są... wyznaczone przez samą strukturę całej rzeczywistości, a szczególnie przez strukturę psychofizyczną człowieka, ale myśl ludzka w tej strukturze rzeczywistości musi je dopiero odkrywać i w wyraźne dyrektywy formułować — to praca zależna od znajomości Boga, świata i człowieka, jej rezultaty są po prostu funkcjonalnie związane ze stadiami rozwojowymi nauki o Bogu, świecie i człowieku".

Zbawienie duszy człowieka jest celem wiecznym, ponadczasowym, najwyższym; doskonalenie świata jest celem doczesnym, umieszczonym w czasie. Maritain pisze, że „człowiek poddany jest prawu stawania się, prawu nieustannych zmian".. Ale jednocześnie „jest uczepiony w wieczności; jego życie najgłębiej zakorzenia się tam, gdzie nie ma już ni przemian, ni cienia niestałości"... Trzeba tu, zdaniem Maritaina, pamiętać o podwójnym niebezpieczeństwie. Człowiek bowiem może „ulec pokusie i wskutek zajęcia się dobrem doczesnym stracić z oczu całkowicie perspektywy wieczne, dać się porwać i unieść przez nurt, zamiast go opanować. Żeby rzec prawdę, to ci, którzy tak czynią, raczej znoszą świat, ulegają działaniu świata, a nie działają (czyniąc sobie świat poddanym)... Drugim (niebezpieczeństwem) przeciwnym temu jest pozorne przywiązanie do rzeczy wiecznych; w rzeczywistości przywiązanie nie do spraw wiecznych, lecz do fragmentów przeszłości, do skończonych już zabalsamowanych we wspomnieniu momentów historii. Przywiązanie to umożliwia im drzemkę. Ci, którzy tak czynią, wzgardzają światem nie jak święci (którzy go kochają zawsze jako dzieło rąk Bożych) ale jak ignoranci, zarozumialcy, którzy nie myślą o nim, tylko po prostu go odrzucają (odrzucając tym samym wszelki postęp) i kompromitują przez to prawdy Boże uznając je za nierozłączne od form umierających. Jakaś ciasnota serca przeszkadza takim ludziom poznać sprawy ludzkie i oddać sprawiedliwość dziełu Bożemu stającemu się w czasie i historii".

Maritain wspomniał o sprawach ludzkich ważnych dla postępu i dla rozwoju kultury. Droga postępu rodzącego się poprzez zetknięcie się człowieka ze światem wiedzie również i poprzez zetknięcie się człowieka z inną jednostką ludzką tak samo rozumną i wolną równie nieśmiertelną i dążącą ku wieczności. Postęp więc powstaje również w ramach wzajemnych stosunków między ludźmi, które są walką lub współpracą; zarówno we współpracy, gdy wspólnym wysiłkiem ludzie budują gigantyczne dzieła, jak w walce, gdy konieczność obrony doskonali narzędzia walki, wysubtelnia myśl i twory rąk ludzkich, tkwi postęp. Współpraca zazwyczaj upowszechnia postęp, walka posuwa go często naprzód. Umysł ludzki i dzieła ludzkie są niedoskonałe i potrzebują krytyki. Rozwój doktryny, rozwój form społecznych dokonuje się w ścieraniu się grup społecznych, poglądów i kultur. Prawo to dotyczy nawet instytucji założonej przez samego Chrystusa, dotyczy nawet Kościoła katolickiego i rozwoju jego doktryny. Herezje występujące od zarania dziejów Kościoła zmuszały go do przyspieszenia rozwoju Jego nauki i precyzowania Jego dogmatu. Spory religijne i schizmy doprowadzały w konsekwencji do odrodzenia Kościoła i rozwoju Jego działalności. Ateizm zmuszał niejednokrotnie katolików do analizy i rewizji poglądów, co w konsekwencji prowadziło do wysubtelnienia myśli chrześcijańskiej i do coraz doskonalszego pojmowania istoty Boga. Znany katolicki pisarz francuski, Jean Lacroix, pisząc na temat „Znaczenia i wartości współczesnego ateizmu" stwierdza: „w naszej koncepcji Boga istnieje i zawsze będzie istnieć pewna cząstka bałwochwalstwa. Jakże więc ważna jest negatywna dialektyka, która atakuje prostackie elementy idei Boga. Ateizm metodologiczny — jak go nazywa w swych wywodach Lacroix — odegrał w historii i odgrywa nadal olbrzymią rolę wyzwalania i oczyszczania. Taka dialektyka ratuje samą możliwość aktualnego poznania Boga i cokolwiek wynajdzie nauka, temu właśnie odmawiamy miana Boga. Tak więc nauka zmusza chrześcijan jakby do ciągłej spirytualizacji tego, co niezbyt trafnie nazywamy dowodami na istnienie Boga — chodzi o te zwykłe dowody, o których Pascal mówi, że są zbyt skomplikowane, a Kirkegaard, że implikują swego rodzaju niewiarę. W rzeczy samej udowadnianie istnienia Boga argumentami, którymi operuje nauka w danym historycznym okresie swego rozwoju — byłoby to czynić z i pierwsze ogniwo łańcucha przyjętych wtedy wyjaśnień, czyniąc go w ten sposób jednorodnym elementem całości, eksplikacji — już nie podmiotem, lecz przedmiotem".

W życiu społecznym postęp realizuje się poprzez ścieranie się różnych grup socjalnych, poprzez walkę. O. Jean Danielou pisze w związku z tym, że postęp społeczny dokonywał się dzięki temu, iż „zawsze warstwy społeczne uciemiężone walczyły z tymi, którzy są u władzy. Infrastruktury społeczne zwalczały warstwy wyższe: ta dialektyka rewolucyjna jest prawem historycznym. Chrześcijanin uznaje to prawo".

Postęp we wszystkich dziedzinach życia dokonuje się w ciągu historii drogą powolnych ewolucyjnych przemian, drogą dokładania do skarbca ludzkości dorobku każdego pokolenia lub drogą wstrząsów i skoków; odkryć takich jak odkrycie Kopernika czy wynalazek druku, lub, w dziedzinie społecznej, dziedzinie współżycia między ludźmi, drogą rewolucyjnych przemian. „Zdobywanie wiedzy — pisze O. Jacek Woroniecki — jest przede wszystkim funkcją społeczną i dopiero solidarny wysiłek szeregu pokoleń zapewnia jej stały postęp. Prawdy przyrodzone... ukryte w całym otaczającym świecie nie wyłączając nas samych, to jest samego myślącego prawdy podmiotu, winny... tam być odnalezione przyrodzonymi siłami naszego rozumu i cały rozwój rodu ludzkiego od zarania dziejów aż do naszych dni jest ciągłym i nieprzerwanym procesem wdzierania się ludzkiego w tajniki bytu przyrodzonego". Dość często postęp jest wynikiem buntu przeciwko rzeczywistości, z której dane pokolenie czy dana panująca grupa społeczna nie umiała usunąć umarłych zjawisk przeszłości. Wyrazem buntu przeciwko przyjętemu systemowi myślenia jest dążenie odkrywcy do wytyczenia nowych dróg nauce, wyrazem buntu przeciw demoralizacji ówczesnego świata chrześcijańskiego jest akcja Savonaroli lub życie św. Franciszka z Assyżu, który zmusił współczesny świat katolicki do odrodzenia i rozwoju najwspanialszych tradycji Chrystusowych, buntem w pozytywnym tego słowa znaczeniu jest wreszcie walka społeczeństw o wspólne dobro z jednostkami, które uzurpują sobie wyłączne prawo do korzystania z dobra całości. Sprawą tą zajmował się szeroko św. Tomasz z Akwinu w swych tekstach społecznych Summy Teologicznej (Secunda secundae, kwestia 42). Święty Doktór Kościoła ze znaną sobie powściągliwością słowa zastanawia się nad tym zagadnieniem na płaszczyźnie grzechu. Twierdzi on, że w pewnych wypadkach bunt nie jest grzechem, a nawet może być godny pochwały. „Bunt jest wrzeniem przed walką. Otóż walka nie zawsze jest grzechem, ale niekiedy jest sprawiedliwa i dozwolona. Tym bardziej więc bunt może nie być grzechem. Ponadto godni pochwały są ci, którzy uwalniają społeczność ludzką od potęgi tyrana. Otóż nie może się to stać łatwo bez pewnej niezgody społeczeństwa, jeśli jedna jego część stara się zatrzymać tyrana, druga zaś stara się go obalić. Można więc buntu dokonać bez grzechu. „Bunt jest grzechem, gdy „sprzeciwia się sprawiedliwości i dobru społecznemu" i popełniają go ci, „którzy bunt sprowadzają". Ale „władza tyrańska jest niesprawiedliwa, ponieważ ma na celu nie dobro społeczeństwa, lecz prywatne dobro rządzącego Dlate-

(Dokończenie na str. 6)

JAN STEFAŃSKI

W POSZUKIWANIU TAJEMNICY SZTUKI PISARSKIEJ

ISTOTA sztuki pisarskiej, zagadnienie środków artystycznych, jakimi twórca modeluje niejako dzieło literackie — jest problemem intrygującym niemal wszystkich miłośników literatury. Na pytanie to próbuje sobie nieraz odpowiedzieć zwykły czytelnik-amator, ale musi to czynić niejako profesjonalnie krytyk literacki, badacz, a szczególnie teoretyk literatury, usiłujący przełożyć emocjonalne niejednokrotnie przeżycie estetyczne na ścisły język nauki.

Pytanie o tajemnicę sztuki literackiej tkwi u podstaw pracy badawczej prof. Stefanii Skwarczyńskiej. Jej wieloletni, obfity w pozycje bibliograficzne, dorobek naukowy świadczy o niestrudzonym zainteresowaniu autorki „Studiów i szkiców literackich" dla teorii literatury. Estetyka dzieła literackiego, metodologia badań i historia nauki o literaturze — oto dziedziny, w które prof. Skwarczyńska wniosła rzetelny wkład naukowy przez pionierskie nieraz — zwłaszcza, jeśli chodzi o Polskę — prace badawcze. Podsumowaniem niejako dotychczasowych osiągnięć, pomnożonym o nową, oryginalną interpretacyjnie syntezę, ma być trzytomowy „Wstęp do nauki o literaturze", którego pierwszy tom niedawno się ukazał nakładem „Paxu"*, a drugi przewidziany jest w planach wydawniczych tej instytucji jeszcze na rok bieżący.

Tytuł pracy prof. Skwarczyńskiej jest stanowczo zbyt skromny w stosunku do treści, jaką ma obejmować. Przyjrzyjmy się bowiem tematom poszczególnych części pracy: przedmiot i zadania teorii literatury, struktura treści w dziele literackim, kompozycja dzieła literackiego, tworzywo językowe dzieła literackiego, rodzaj literacki, w kręgu twórcy i odbiorcy. Już z tego pobieżnego wyliczenia jasno wynika, że omawiane dzieło nie jest jedynie — analogicznie do prac Grabowskiego czy Korbuta — wprowadzeniem w problematykę badań literackich, czymś w rodzaju vade mecum dla studenta polonistyki, ale mocno zarysowanym zrębem teorii literatury, niejako „summą" poglądów autorki w tym względzie. Potrzeby i ważności takiej pracy nie trzeba chyba podkreślać.

Rzetelną ocenę każdej pracy, a szczególnie pracy naukowej, można wydać dopiero po zapoznaniu się z jej całokształtem. Dlatego też niniejsze omówienie pierwszego tomu dzieła prof. Skwarczyńskiej pragnie spełnić w stosunku do czytelnika jedynie zadanie informacyjne — niezbyt łatwe zresztą do wypełnienia.

Wstęp do nauki o literaturze zaskakuje nas po prostu obfitością treści i problematyki, tym więcej trudnej do zreferowania, że wyrażonej w sposób niesłychanie lapidarny. Zmusza to recenzenta do wypunktowania niejako głównych linii problemowo-kompozycyjnych pracy, odsyłając zarazem czytelnika po bardziej szczegółowe ich udokumentowanie do samej książki.

Sprawą, która leży w centrum zainteresowania autorki „Wstępu do nauki o literaturze", jest oczywiście dzieło literackie i jego analiza. Tej ostatniej poświęcona jest przecież szczególnie część druga i trzecia pracy mówiąca o strukturze treści i kompozycji dzieła literackiego. Prof. Skwarczyńska widzi dzieło literackie zawsze w ścisłym związku z zespołem warunków historyczno społecznych, w jakich ono powstawało.

Czyniąc tak, przenosi jak gdyby prof. Skwarczyńska teorię literatury z zamkniętych laboratoriów badawczych w żywy nurt historii społeczeństwa ludzkiego. Tak nowatorskie stanowisko zmusiło oczywiście autorkę do określenia przedmiotu badań teorii literatury, jak również do ustosunkowania się wobec poprzednich badaczy i kierunków metodycznych w tej dziedzinie .

Mówi o tym część pierwsza tomu I „Wstępu". Szczególnie jej rozdział drugi można uważać za krótki zarys systematyki kierunków w badaniach literackich, której pierwszy tom ukazał się zresztą kilka lat temu nakładem Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Omawiany rozdział jest jednak nie tylko streszczeniem owego pierwszego tomu i zarysem projektowanego drugiego, ale nowatorską ich interpretacją, podającą uwarunkowanie społeczne i wymowę ideologiczną poszczególnych kierunków metodologicznych. Prof. Skwarczyńska wyraża w tym względzie punkt widzenia i terminologię współczesną, podkreślając postępowość lub wsteczność poszczególnych teorii.

Trzeba bowiem powiedzieć, że autorka „Wstępu do nauki o literaturze" czyni w swej pracy zadość stanowisku wyrażonemu w przedmowie do „Studiów i szkiców literackich". Przejmuje ona to, co współczesny katolik bez szkody dla swojego stanowiska światopoglądowego z osiągnięć nauki marksistowskiej przyjąć może — i rozwija dalej twórczo, wyciągając niesłychanie płodne naukowo i interpretacyjnie konsekwencje. Takie stanowisko zajmuje zresztą prof. Skwarczyńska wobec innych kierunków metodologicznych, unikając przy tym szczęśliwie niebezpieczeństwa eklektyzmu.

Jak już mówiliśmy, dzieło literackie nie jest dla prof. Skwarczyńskiej wyabstrahowanym z życia przedmiotem badawczym. Przeciwnie: jest ono odbiciem rzeczywistości, co podkreśla szczególnie rozdział trzeci części pierwszej omawianej pracy. Pociąga to za sobą uwypuklenie wagi treści dzieła literackiego, nie zatracające jednocześnie istotnej, dialektycznej łączności między treścią a formą jako dwoma nierozerwalnymi aspektami utworu. Łączy się to również z podkreśleniem humanizmu literatury jako dziedziny sztuki traktującej o sprawach ludzkich. Wspomniany rozdział typizuje także badawcze kategorie analityczne, jak np. tak zwaną funkcję impresywną dzieła literackiego, czyli jego oddziaływanie na odbiorcę — których rozwinięciem zajmują się dalsze części „Wstępu do nauki o literaturze".

Część druga: struktura treści w dziele literackim — opracowuje jeden z najciekawszych problemów, jakim jest stosunek rzeczywistości przedstawianej do świata i człowieka przedstawionych w utworze. Badanie literackie prof. Skwarczyńskiej idzie tutaj utartą, a w tym wypadku szczególnie właściwą drogą: postępowania od ogółu do szczegółu, od podstawowych zagadnień do — rzec by można — drobiazgów sztuki pisarskiej. Interesuje bowiem autorkę „Wstępu" kwestia percepcji rzeczywistości przez pisarza, kryteria selekcji zjawisk przy przenoszeniu odbicia tej rzeczywistości do dzieła literackiego. Prof. Skwarczyńska wywodzi te kryteria ze światopoglądu twórcy i systematyzuje je według tak zwanych przez nią wielkich form sztuki, jak: realizm, naturalizm i idealizm (uwzględniając zarazem w ich obrębie bogatą skalę odmian postaw pisarskich). Autorka eliminuje zarazem poza granice prawdziwej sztuki literackiej nieodpowiedzialne igraszki twórców, określając je mianem czystego konstruktywizmu i aspołecznego subiektywizmu.

Następny rozdział zapoznaje nas bezpośrednio ze szczegółowymi kategoriami analitycznymi, w które ująć musi badacz i krytyk literacki odbicie rzeczywistości zawarte w utworze. Rozważa tutaj przede wszystkim autorka liczne — jak je nazywa przez analogię do architektury — plany dzieła literackiego, przy pomocy których pisarz hierarchizuje niejako elementy składowe utworu, uwypuklając jedne, a szkicując inne, plan światopoglądowy, plan wartości, zwłaszcza zaś wartości estetycznych. Tok wywodów prof. Skwarczyńskiej w omawianym rozdziale wykazuje jasno, jak bardzo skomplikowany a zarazem przemyślany jest utwór literacki, jak wielce zależna jest komunikatywność i impresywność jego treści od walorów estetycznych. Poruszonych tu jest szereg zagadnień, od dawna dyskutowanych przez badaczy i krytyków literackich jak: sprawa czasu w dziele literackim, kwestia bohatera pozytywnego itd.

Następne rozdziały „Wstępu do nauki o literaturze" poświęcone są rozbudowaniu analizy naszkicowanych przed chwilą problemów. Nie zatracając odrębności dzieła literackiego (co podkreśla szczególnie rozdział trzeci) prof. Skwarczyńska pokazuje, jak bardzo uzależniony jest nawet drobny pozornie chwyt stylistyczny od ideologii tkwiącej u podstaw utworu. Bardzo istotne jest odrzucenie przez prof. Skwarczyńską już tutaj bezwzględnej autonomii stylu artystycznego, wykazanie, że pewne językowe elementy dzieła, jak np. metafora, rozpatrywane dotąd niemal wyłącznie w obrębie tchnącej formalizmem stylistyki — w istocie zależne są od wyrażanych przez siebie treści. Podobnie, w powiązaniu z ideologią dzieła rozpatrywana jest sprawa jego symboliki i alegorystyki.

W tej samej części „Wstępu" zostaje przeanalizowany naukowo tak ważny komponent dzieła literackiego, jak akcja i tło utworu. I tutaj zostaje położony nacisk na jego skomplikowaność i niejednoznaczność, na jego różne ujęcie w rozmaitych teoriach rzeczywistości przyjmowanych przez pisarza.

Ostatni rozdział omawianej części zajmuje się znowu sprawą, która dopiero w nim została naukowo postawiona i opracowana. Idzie o tak zwane przez autorkę formy podawcze dzieła literackiego, czyli o środki narracji, którymi wypowiada się pośrednio lub bezpośrednio sam autor. Prof. Skwarczyńska mówi tu między innymi o podmiocie lirycznym, komentarzu autorskim, opisie i opowiadaniu, jak również analizuje bardziej skomplikowane zjawiska tego typu, w rodzaju przemówienia, monologu i dialogu, a także listu, dziennika i pamiętnika.

Część trzecia „Wstępu" traktuje o właściwej kompozycji dzieła literackiego. Wraz z autorką rozważamy tutaj już szczegółowe kwestie techniki pisarskiej, określone niejednokrotnie przez nią samą jako chwyty kompozycyjne. Tutaj również na plan pierwszy występuje swoista logika artystyczna dzieła literackiego, bezwzględna zależność i współpraca składających się na nie elementów. Prof. Skwarczyńska nie zatraca w żadnym z rozdziałów omawianej części wyczucia celu, do którego zdążają wszystkie czynniki kompozycyjne dzieła jako elementy jego funkcji estetyczno-społecznej.

Podobnie jak w ogólnym stosunku do dzieła literackiego przejęła prof. Skwarczyńska twórczo osiągnięcia nauki marksistowskiej — tak też w ustępach czysto analitycznych uwzględniła ona pozytywne wartości innych metod badawczych, wśród nich szczególnie fenomenologicznej i historyczno-literackiej. Oczywiście — co podkreślałem — nie jest to w żadnym wypadku eklektyzmem. Wiele jest również w pracy jak gdyby motywów zapowiadających dalsze rozważania, które wypełnią niewątpliwie drugi i trzeci tom „Wstępu do nauki o literaturze".

Nakład pierwszego tomu „Wstępu do nauki o literaturze" jest duży — wynosi bowiem 7500 egzemplarzy. Świadczy on o przekonaniu — i słusznym — wydawnictwa o potrzebie takiej właśnie pracy. Bo też adresatem książki prof. Skwarczyńskiej nie jest — ani nie powinien być — jedynie student polonistyki, naukowiec, czy czytelnik interesujący się w ogóle estetyką. Lektura „Wstępu" jest równie przydatna dla krytyka literackiego, a nawet bardziej zapalonego miłośnika literatury, który odczuwa potrzebę usystematyzowania swoich poglądów na literaturę, ścisłego i jednoznacznego ich wyrażenia. Dla nich wszystkich stanie się niewątpliwie „Wstęp do nauki o literaturze" książką, do której się wraca.

*) Stefania Skwarczyńska: Wstęp do nauki o literaturze, tom I. Warszawa, 1954. PAX. str. 474+1 nlb.

RAZEM

(Dokończenie ze str. 1)

w Polsce Ludowej swojego miejsca w rewolucji. Chciał jej służyć jako krytyk literacki. Nie należał do tych, którzy zbyt łatwo posługują się transparentem, szybko jednak odciął się od tych, którzy chcieli go wychować na paszkwilanta współczesnej literatury. Szedł powoli, lecz konsekwentnie katolicką drogą polskiej rewolucji socjalistycznej. Oczywiście popełniał błędy. Początkowo nawet wikłał się w fałszywą koncepcję autonomizowania zjawisk kulturalnych. Wydobywał się jednak z błędów przez trzeźwą obserwację rzeczywistości, analizę praw nią rządzących. Praca jego choć skromna i niedoskonała, jak on sądził, służyła i służy sprawie rewolucji. Rozwijał się w tej służbie.

Kto mu pomagał? Powiedzmy, kto mu przeszkadzał. Rozwojowi jego przeszkadzali ci, którym powinno zależeć na rozwoju każdego sojusznika sprawy rewolucji, każdego socjalisty, niezależnie od tego czy jest katolikiem czy mahometaninem. Mój znajomy miał takiego pecha, że nie mógł napisać ani jednego artykułu, aby powiedzmy „Nowa Kultura" nie dzwoniła brzękadełkami tanich dowcipów. Nie mógł wygłosić ani jednego przemówienia, aby ktoś z pomiędzy uczestników nie odczytał tego, czego w przemówieniu ani między wierszami nie było. Różnice ocen szczegółowych wynikające z odmienności światopoglądowej traktowano jako zamaskowane manifestacje polityczne. Skutek był taki, że mój znajomy stracił wiarę w możność twórczej polemiki, w szansę zaprezentowania własnego stanowiska katolika społecznie postępowego, dla którego literatura współczesna była i jest bliskim sercu problemem. Z trudem namówiłem mego znajomego, aby przyszedł na dzisiejszy zjazd. Przekonywałem go, że jest dla niego miejsce wśród ludzi służących rozwojowi naszej kultury.

Zanim zamknę nawias za tą osobistą dygresją ilustracyjną, chciałbym uwyraźnić jej myśl ogólną dla uniknięcia zawsze niestety możliwych nieporozumień.

Jasne, że nie chodzi tu tylko o mojego znajomego. Chodzi o błędność wypróbowanej na nim metody. I czas stwierdzić szkodliwość aury, w której dochodziło do stosowania takich metod wobec ludzi, którzy coraz mocniej choć zawsze inaczej wiązali się z piękną i twórczą ideą postępu — ideą rewolucji socjalistycznej.

Współczynnik nieufności wynikający z doświadczenia historycznego nie usprawiedliwia kanonizowania zasady wrogości wobec dyskutantów światopoglądowych, którzy ponad dyskusją stawiają sprawę zrozumiałej dla nich jedności obozu pokoju i postępu.

Sprawa jedności naszego narodu, sprawa zgodnego w zasadniczych celach działania ludzi różnych światopoglądów, znajdująca konkretne swe odbicie w naszej wspólnej aktywności politycznej, społecznej i gospodarczej, powinna znaleźć swój wyraz i w klimacie życia kulturalnego, w klimacie życia literackiego. Polega to nie na klajstrowaniu rozbieżności w ocenach, nie na przemilczaniu różnic światopoglądowych, które zawsze muszą być widziane precyzyjnie, lecz polega to na uznaniu, zrozumieniu i ukochaniu wspólnoty łącznego celu, któremu różnymi sposobami, na różnych odcinkach naszego życia wspólnie służymy.

Dla pogłębienia sensu wspólnej służby naszemu narodowi i przeobrażającej jego życie rewolucji konieczne jest łączne widzenie aktywności kulturalnej ludzi różnych światopoglądów. Wzajemne oddziaływania, twórcza, wspólnotą zasadniczych celów ożywiona wymiana myśli, ocen, uwag krytycznych i doświadczeń wymaga lojalności w traktowaniu uczestników i współtwórców życia kulturalnego.

Na katolików w ten nowy sposób rozumiana sytuacja współtwórczości kulturalnej nakłada jeszcze wyraźniejszy, jeszcze bardziej realny i ważki obowiązek doskonalenia, precyzowania swojej postawy społecznej, obowiązek oczyszczania myśli katolickiej z przedwojennych naleciałości, z mętniactwa społecznego, z nieświadomie konserwatywnych zahamowań. Obiektywne poszerzanie się bazy ruchu katolików społecznie postępowych jest pewną gwarancją intensyfikowania tego procesu.

Organizowane w ostatnich latach zjazdy katolików, zamknięte i otwarte konkursy, jak chociażby konkurs redakcji „Dziś i Jutro" p.n. „Na drogach ku Polsce Ludowej" wykazują, że proces przemiany świadomości społecznej także i wśród twórców katolickich — zwłaszcza wstępującego w historię pokolenia — jest procesem o wyraźnych i coraz bardziej dynamicznych tendencjach rozwojowych i krystalizacyjnych.

Sądzę, że nie są to sprawy obojętne dla naszego ogólnonarodowego życia kulturalnego i literackiego. Każda siła, która służy poszerzeniu naszych narodowych możliwości kulturotwórczych, każda szansa powiększenia aktywu kulturalnego i literackiego, aktywu, który łączyć może wspólna idea postępu i pokoju, rewolucji i szczęścia kraju i świata — to szansa, której nie wolno ominąć.

Na to powinniśmy mieć wspólny pogląd — mimo różnic światopoglądowych. I tą myślą, tą troską ożywiony pozwoliłem sobie na zajęcie zebranym tak wiele czasu. Wierzę, że nie jest to czas stracony,

DANUTA KUCHARSKA-ZARZYCKA

W KRAKOWSKIEJ

Bohaterka dramatu, Marynia Jachimczuk w pierwszych dwóch aktach egzystuje tylko w cieniu swoich pań: Łucji Boreszko i jej córki Anny. Nad aktem pierwszym dominuje postać matki. Wypędzona wydarzeniami wojennymi z rodzinnych Sołowiec żyje ona jedynie wspomnieniami przeszłości i nadzieją powrotu do swego dworu. Teraźniejszość jej nie interesuje. Beztrosko wydaje wszystkie oszczędności, pewna, że Pan Bóg nie może zawieść Boreszków i nie otaczać ich szczególną opieką w każdej sytuacji. Zachowując wiernie styl życiowy kresowego ziemiaństwa, terroryzuje bezlitośnie swoje otoczenie. Anna Boreszko próbuje się buntować przeciw matce, ale sama za silnie tkwi w tradycjach swej klasy, aby jej bunt mógł zakończyć się zwycięstwem. Nie zostanie artystką, choć ma talent muzyczny, ponieważ „Boreszkowie na estradach nie występowali", nie zostanie żoną Seweryna Miszunasa, ponieważ to byłoby mezaliansem (Seweryn jest synem dzierżawcy). Między nimi szarpie się nieszczęsna Marynia, traktowana jak domowy sprzęt przez panią Łucję i dręczona przez rozhisteryzowaną Annę.

Akt drugi dzieje się jesienią 1939 roku. Stara pani Boreszko umarła. Zdawać się może, iż teraz odmieni się życie Anny, a także życie Maryni. Rychło jednak okazuje się, że Anna tkwi w tych samych nałogach myślowych, co matka, choć nie posiada takiej siły charakteru. Podejmowane przez Marynię próby wciągnięcia „panienki" w życie normalniejsze niż dotychczasowe (pogodzenie jej z Miszunasem, zainteresowanie sprawami ogólniejszymi; chodzi konkretnie o pomoc dla konspiratorów) kończą się fiaskiem. Anna nie wyjdzie już z zaczarowanego kręgu przeszłości. Zjawia się jednak w życiu Maryni ktoś nowy: Agnieszka, dziewczyna ze wsi, maturzystka, która przybywa do Krakowa, by studiować na uniwersytecie. Ta Agnieszka to przedstawicielka nowego świata, nowego życia, w którego próg wejdzie Marynia w trzecim akcie, by wreszcie przestać być służącą, a stać się pełnoprawnym człowiekiem, pożytecznym członkiem społeczeństwa.

AKT III

ODSŁONA PIERWSZA.

Ciemna, brudna kuchnia jak w akcie pierwszym. Zatłoczona jest teraz gratami z pokoju pani Boreszko oraz z pokoju Anny, widać przygotowanymi do sprzedania. W małym pomieszczeniu widać więc lustro w złoconych ramach, rzeźbiony klęcznik, krzesełko o oparciu w kształcie liry, obrazy złożone na stos w kącie. W środku kuchni żelazny piecyk połączony rurą z pieeem kuchennym. Na piecyku bulgotają kartofle. W rogu, na dawnym miejscu wąskie, żelazne łóżeczko. Stół pod zakratowanym oknem. Na stole porzucony, czarny sweter. Przez okno widać biel śniegu. Marynia chodzi po kuchni, chwyta to jeden, to drugi garnek. Siada do prucia swetra i znów się zrywa. Naraz niedaleki, potężny huk. Słychać kroki ludzi zbiegających po schodach. Po chwili gwałtowne pukanie a potem łomotanie do drzwi. Marynia przytulona do ściany nasłuchuje. Zza drzwi słychać szczekanie psa i głos stróżki.

STRÓŻKA:

Wojna skończona, paniusiu! Ruscy z naszymi w Krakowie! Szwaby wieją, że ino tylki im widać! Most na Wiśle wysadzony!

MARYNIA *(otwiera drzwi. Do kuchni, w kłębach mroźnego powietrza wtacza się stróżka z Kajtkiem u nóg).*

STRÓŻKA:

Koniec wojny, panno Maryńciu! Szwaby wieją! Cóż tu paniusia w tej klatce będziesz siedziała? Jużeś swoje panie pochowała, toś wolna! W „sokole" pełno szwabskich kożuchów! Można brać, ile dusza zapragnie! No, chodźże paniusia!

MARYNIA *(stoi bez ruchu):*

No, cóż paniusia jak zamurowana? Ani gęby do człowieka nie otworzy! Nie to nie! Dzisz ją! Hrabinia! Chodź Kajtek!

MARYNIA *(podchodzi do zakratowanego okna, patrzy chwilę, potem siada przy stole. Bierze sweter w ręce, ale odkłada go. Ujmuję głowę w obie ręce. Znowu pukanie do drzwi. Marynia chwilę nasłuchuje. Otwiera wreszcie. W drzwiach ukazuje się Seweryn Miszunas, straszliwie zaniedbany, od dawna nie ogolony, szyja okręcona jakimś łachmanem).*

MARYNIA *(cofając się):*
Pan Miszunas!

MISZUNAS

Nie broń, serce, przystępu... Nie broń... Już ona nie żyje... ta... hrabina... Już mnie jak psa od siebie nie odpędzi... *(Z cichutkim, wariackim chichotem)* Łomot! Słyszałaś? Wali się! Wali się świat! Trzeszczy świat jak beczka źle spojona! A ona nie żyje! *(Łkając)* Nie żyje!.. Dopiero jak ten świat wysadzili! tom śmiałości nabrał... do jej domu wejść! Na to miejsce gdzie żyła popatrzeć! Jej skrzypiec palcami dotknąć! Jej skrzypce! Gdzie jej skrzypce? Moja dusza w tych skrzypcach została! Gdzie ona? Gdzie dusza moja?

MARYNIA *(cofając się, przerażona):*
Panie... panie... opamiętaj się pan.. Skrzypce sprzedane.. Sama kazała sprzedać..,

MISZUNAS *(głupkowato):*

Sprzedane? Duszę moją sprzedałaś, serce.. A niech ci za to... ziemia... lekką będzie... *(Zbliżając się do Maryni, szeptem).* Bo to łachman nie dusza! Łachman zszargany, serce! Jak cień ja się wokół domu jej snułem... We wietrze za nią pieśń szumanowską śpiewałem... a za jej pogrzebem pójść nie śmiałem, bo się zdawało, że odgoni mnie jak psa... Dopiero jak ten świat się zawalił przyszedłem cień jej oglądać... *(Rozglądając się).* Tu stała... *(Chodząc po kuchni i co chwila przystając).* Tu mi mówiła: to nie był akompaniament... to był oddech... oddech mych skrzypiec... *(Kocimi ruchami idąc ku drzwiom)* Tu mi powiedziała: idź już, Seweryn... dzisiaj rozmawiać będę z matką... Czy ja myślałem, że ona mnie wtedy wypędza? *(Zbliżając się do Maryni, szeptem).* A wiesz ty serce, czemu mi ona zginąć nakazała? Bom prostaka syn! Dużom ja o tym myślał... Aż jak piorun w myśl wpadło i oświeciło... To to było! To to! Bo ona, uważasz, nie dla takich... nie dla takich jak ja...

MARYNIA *(przerażona, przytulona do ściany, ostrożnie):*

Nie myśl pan... Zaraz jeść dam... Siedź pan spokojnie..,

MISZUNAS:

Jeść, serce? At, ja już nie umiem jeść! Ja tylko pić umiem! *(Tajemniczo)* Już tam na mnie jeden taki czeka! Już idę ja! *(Nieprzytomnie)* A jak ci się ukaże, to jej powiedz... to jej powiedz, że się Miszunas kłaniać kazał, ot tak *(z czapką w ręku schyla się w chłopskim ukłonie)* i pod nogi ją ułapia, ot tak *(schyla się w poddańczym ruchu, Marynia przerażona uskakuje). (Wybiega ze zduszonym, szyderczym śmiechem).*

MARYNIA *(stoi bez ruchu. Po chwili zamyka drzwi na klucz, ociężale podchodzi do stołu, siada wreszcie kiwając się jednostajnie. Znowu pukanie do drzwi. Marynia przestaje się kiwać, nasłuchuje, podchodzi ostrożnie i otwiera. Wchodzi pani Ordyńska, przez rękę ma przewieszone jakieś łachy).*

PANI ORDYŃSKA *(w pośpiechu):*

Przyniosłam ci, moja kochana, trochę swoich rzeczy... Niech będą u ciebie, bo to dzisiaj nic nie wiadomo... Niech tu poleżą aż się wszystko uspokoi.. *(Siadając i rozsupłując zadyszana wstążki czarnego czepeczka).*

Słyszałaś jaki to łomot? Całe szczęście, że już byłam za mostem! *(Podnosząc oczy w górę).* Bóg czuwał! *(Rozglądając się)* A szyby u ciebie nie wypadły? No, no... Widać kraty chronią... Pełno szyb leży wszędzie. Kraty to dobra rzecz... Przed złodziejem i przed wszystkim... No, koniec świata... koniec świata... *(Uderzona nagłą nieruchomością Maryni).*

No, cóż u ciebie? Nie byłam aż od pogrzebu panienki... Będzie ze dwa tygodnie... Już z miesiąc jak bułeczek mi nie pieczesz... Dobrze, że nie doczekała... Ona by nie przeżyła tej *(drwiąco)* wolności... A i ten huk jużby ją powalił! Tak, tak... Bóg wie dobrze co czyni..

Co to będzie? Co to będzie? Mówię ci Maryniu, że z dwojga złego to już lepiej z tymi hitlerowcami... Zawszeć spokój mi dali... A ci... Brrr... Jak oni sobie przypominą panią Ordyńską z Ordy... to... Sodoma i Gomora... Sodoma i Gomora.. Choć to niby człowiek zbiedniał, ale uważasz, rasa pańska została... już oni się na tym znają.. Te rzeczy niech u ciebie zostaną... Tyś teraz bezpieczniejsza niż ja... Prosta dziewczyna... Nieuczona... Oni takich lubią... Krzywdy im nie zrobią... Niechże więc będą u ciebie.. No? cóż u ciebie? Rozumiałam... rozumiałam... musisz się wypłakać, powspominać... To wspominanie dla zmarłego to jak Msza Święta... No, rozumiem... rozumiem... przykre to było dla ciebie... Cała ta śmierć... gonienie za pieniędzmi... *(Chciwie)* Dali ci przynajmniej za te skrzypce tyle ile warte? Na życie pewno jeszcze masz? Pożyczyłabyś mi trochę... Bo już wstyd w tych łachach chodzić... Jakieś buciki też by się przydały... *(Rozglądając się i pociągając nosem)* Gotujesz coś? Kartofle... Wezmę bo aż mi w brzuchu skwierczy...

MARYNIA *(nie rusza się z miejsca)*

PANI ORDYŃSKA *(z pańska):*

Dajżeż no mi, moja Maryńiu, na talerzyku trochę kartofli.

MARYNIA *(ruchem głowy):*

A są...

PANI ORDYŃSKA *(patrząc ukosem):*

O, coś shardziałaś, duszko, shardziałaś... Ani by cię twoja panienka nie poznała..,

MARYNIA *(wybucha płaczem, zawodząc):*

Ani by mnie poznała detyna moja... Już tamtą Marynię wzięła ze sobą do grobu... Oj, wzięła na wieki... Tylko strach mi zostawiła i głód i chłód... biednieńka moja... Wszystką miłość ze mnie wyciągnęły i odeszły..,

(Chodzi po kuchni, bezradnie dotyka czoła. Nagle staje z przerażeniem).

Jakże to one mogły mnie tak zostawić? Jakaż ja teraz? Obca ludziom... nieznana... z tamtych stron... Niepiśmienna... Jakże mi teraz żyć?

(Siada przy stole, kiwa się wzorem kobiet z ludu rozpamiętowujących śmierć najbliższych).

W nocy śni mi się: panienka! Patrzy na mnie... Skarży się: Maryniu! Zimno! Wyciągam spod głowy poduszkę, zrywam kołdrę... lecę... a tu nic... ciemno.. żywego ducha Albo bywa: siedzę, modlę się.. a tu, panienka... Z pejczem w ręku... tak jak w Sołowcach... Pytam: panienko... a czy czego nie trzeba? A nie zimno tam... A panienka śmieje się... mruga oczami... chodzi po kuchni.. Do pokoju zajrzy.., Nuty przerzuca...

(Trzeźwo, twardo) Jeszcze póki żyła... to chociaż żyło się ciągle jak w Sołowcach... jakby w tamtych stronach... A teraz... nic.. *(Beznadziejnie opuszczając ręce)* Nic..,

PANI ORDYŃSKA *(która słuchała cały czas kręcąc się niespokojnie):*

Przesadzasz.., no, przesadzasz... Masz przecie jeszcze mnie..,

MARYNIA *(groźnie):*

Panią? O, już ja nie dla pani.. Już nie dla was ja..,

PANI ORDYŃSKA:

Taka jakaś dziwna jesteś. Maryniu, że ani cię poznać nie mogę.

MARYNIA:

Abo to proszę pani różnie człowiek myślał przez te dni... Cichość taka okrutna jak grób... To w tej cichości wszystko jak żywe... A przecie za mną śmierć i przede mną śmierć.... to już tak jak na spowiedzi się myśli... rzetelnie.

W tej rzetelności różne ja rzeczy myślała... Myślała ja też i o krzywdzie.. I jak to człowiek zmarnować może, zgnębić drugiego człowieka... jak szmatę wyżąć... *(Wskazując na drzwi)* O tym biedaku ja myślała, który mi tutaj przed oczy jak żebrak stanął i do mego serca przemówił... I o niej, samej skrzywdzonej, która mnie jak skrwawiony strzęp od ziemi oddarła.. *(Z rozpaczą)* I o Bogu ich myślałam, tym.. z sołowieckiej kaplicy...

PANI ORDYŃSKA:

No... no... Uspokój się... uspokój.. Bóg nie zapomni twojej wierności... Będziesz mi piekła bułeczki... Będziesz sprzątała u mnie... albo, żeby ci było raźniej, to się tu zaraz wprowadzę...

MARYNIA *(groźnie):*

I jeszcze krwią mego serca będę żywić? I za to serca żadnego? I pociechy żadnej ludzkiej nie mieć?

PANI ORDYŃSKA *(zgorszona wstaje, idąc ku drzwiom):*

Moja Maryniu, moja Maryniu... Nie chcesz piec dla mnie bułeczek to nie... Bo o to zdaje się, ci chodzi.. Oj, musiało ci tam zostać sporo gotówki z tych skrzypiec, żeś taka harda... Ale jak to wyczerpiesz to pamiętaj, moja droga... Dobra byłaś dziewczyna i zawsze cię rada będę widzieć... A przyjdziesz, przyjdziesz. Nie dziś, to jutro...

MARYNIA *(wskazując na drzwi):*

Jak się te drzwi otworzą dla mnie, to nie po to, abym do was wracała...

PANI ORDYŃSKA *(drwiąco):*

A do kogóż to? Do kogóż? *(Wychodzi).*

MARYNIA *(wzruszona wraca na swoje miejsce przy stole, zabiera się do prucia swetra. Drżą jej ręce, nie może utrzymać roboty, rzuca ją. Pukanie. Otwiera. W drzwiach stoi Właścicielka. Sucha, wysoka, w sukni zapiętej pod szyję).*

WŁAŚCICIELKA *(słodko):*

Pzypominam o komornym... Przez okupację nie dopominałam się, ale już po wojnie... Marynia na pewno teraz sama nie wie co z pieniędzmi robić! Wszystko na nią przeszło..,

MARYNIA:

Długi spłaciłam.., Choroba.., Pieniędzy nie mam..,

WŁAŚCICIELKA:

Przykro mi było... Bardzo przykro... Lokatora już mam... Nie wyrzucam, broń Boże, nie wyrzucam.., *(Zamyka drzwi).*

MARYNIA *(łapie się za głowę, z przerażeniem rozgląda się po ścianach, nakłada chustkę na głowę, gorączkowo szuka czegoś, zbiera się nl. Pukanie do drzwi. Maryna odruchowo chowa książkę pod sweter. Podchodzi do drzwi).*

MARYNIA:

Kto tam?

GŁOS *(afektowany, słodki):*

To ja. Właścicielka. Proszę otworzyć.

MARYNIA *(otwiera drzwi, przedtem przeżegnawszy się):*

WŁAŚCICIELKA *(słodko):*

Panna Marynia sama? Tej... panny nie ma? No, to dobrze... będzie można przynajmniej swobodnie porozmawiać... Porozmawiać przyszłam...

MARYNIA *(stoi bez ruchu).*

WŁAŚCICIELKA:

Och, proszę nie stać... Proszę nie stać... Usiądziemy sobie i porozmawiamy..,

MARYNIA *(stoi jak zawsze stała dotychczas przy wszystkich swych rozmowach „z paniami").*

WŁAŚCICIELKA *(z rozkosznym uśmiechem):*

No, proszę się nie krępować... *(Podsuwa jej krzesło. Marynia niezręcznie siada).*

Otóż rzecz jest taka... Mamy, jak panna Marynia wie, nareszcie Polskę Ludową... *(Marynia ukradkiem przykrywa wystającą książkę swetrem).* Zmieniły się czasy... Komornego tak jak dawniej brać nie wolno... Płace są wyznaczone... Śmiech! Grosze nie komorne! No, mówi się trudno... i dla dobra ogółu,..

Panna Marynia, nie mogę powiedzieć... Długi zaległe jeszcze od śmierci pań pospłacała uczciwie... Ale teraz bez mojej wiedzy tę pannę... tę pannę... bo nawet nie wiem nazwiska... przyjęła...

MARYNIA *(wtrąca pośpiesznie):*

Ona tylko chwilowo... Blisko ma stąd do szkoły... Bo w szkole uczy.. Czeka na pokój przy szkole..,

WŁAŚCICIELKA:

Och! Rozumiem! rozumiem! Ale to tak: chwilowo, chwilowo... a zanim ten pokój dostanie to lata przejdą... Albo to ja nie wiem jak to trwa jak mieszkanie się wyporządza? Lata to się ciągnie! lata całe! No i ta panienka dosyć głośna! Jakieś krzyki pod oknami..,

MARYNIA:

To jej uczniowie wczoraj byli... Przyszli całą gromadą po klucz od szkoły bo ławki z Resursy mieli znosić... To bardzo porządni chłopcy...

WŁAŚCICIELKA:

Więc rzecz w tym, że lokatora na ten pokój mam.. Bardzo przyzwoity człowiek.. Radca... Z ziemiańskiej rodziny... Stary kawaler z matką.. Cóż, myślałam najpierw mieszkanie oddać pani Ordyńskiej, która mnie o to od dawna molestuje.. Ale to, widzi panna Marynia tak: pani Ordyńska nie przeczę... bardzo nobliwa osoba.. na miejscu.., ale staruszka, nie wiadomo dnia ani godziny... Kłopot potem... a tak... radca zawsze pewniejszy... Choćby mu nawet matka umarła to zawsze... mężczyzna... Z mężczyzną zawsze raźniej... Może się ożeni... Jednym słowem i lepiej i przyjemniej... i z widokami na przyszłość... *(Zamyśla się marząco)* Samotnej kobiecie trudno żyć... Już my coś o tym wiemy, prawda, panno Maryniu?

MARYNIA:
A... ja... proszę pani? Co ze mną?..

WŁAŚCICIELKA:

A gdzież ja bym skrzywdziła mogła pannę Marynię? Uchowaj Boże! Mało to lat się znamy? Mało to się napatrzyłam na jej wierność i przywiązanie do ś p nieboszczek? O! takich rzeczy się nie zapomina! Takie rzeczy się szanuje! Bo dzisiaj, droga panno Maryniu... *(Macha ręką)* Et! co tam! Nie ma o czym mówić!

Więc wszystko.., wszystko obmyśliłam tak, żeby i wilk był syty i koza cała .,

Najpierw co do tych gracików.. *(Rozgląda się po kuchni).* Panna Marynia sprzeda je za bezcen a szkoda... Więc proponuję sprzedać mnie... Wrócą na dawne miejsce.. Po co się mają te sprzęciki świetnej niegdyś rodziny Boreszków poniewierać po ludziach, którzy ich uszanować nie będą umieli... Wstawię z powrotem na dawne miejsce.. W sam raz do pokoju pana radcy... Choć one w nienajlepszym stanie, ale zawsze jeszcze się prezentują.., *(Marynia siedzi bez ruchu).*

A co do panny Maryni... *(Właścicielka, która wstała, aby zrobić krótki „przegląd" mebli siada z powrotem).*

Tutaj sprawa jest taka... Oddawna już myślałam co zrobić ze stróżką... A to kury giną... a to goście się skarżą, że jak ich wpuszcza to uszy więdną od różnych nieprzyzwoitych wyrazów, jeżeli czasem się zdarzy, że ktoś „za bramę" nie da... Jednym słowem arogancka i nieuczciwa... A w tę wojnę rozpuściła się tak, że wprost boję się z nią rozmawiać... Kaleka zresztą, pożytku wiele z niej nie ma.. Klatka schodowa niesprzątana, ten jej Kajtek nieporządki robi i też po nim nie sprząta... Jakby na złość... *(Zamyśla się, kiwa głową)* Za tyle dobrodziejstw jakie jej wyświadczyłam.. *Macha ręką).*

Aż tutaj rozwiązanie samo przyszło! Wprost prosi się, żeby pannie Maryni jej miejsce zaproponować!

Pokoik przy schodach ciepły, przytulny w sam raz dla samotnej osoby..,

MARYNIA *(wstaje):*

To niby dla mnie ten pokoik?

WŁAŚCICIELKA:

Ależ tak! Pensję wyznaczę, opał darmo...

MARYNIA:

Jakież to jeszcze dobrodziejstwa dostanę?

WŁAŚCICIELKA:

Kajtka jeszcze myślałam od Marcjanny wziąć, żeby pannie Maryni służył..,

MARYNIA:

To wszystko?

WŁAŚCICIELKA:

No, za „bramę" też od czasu do czasu coś kapnie... Będzie miała panna Marynia święte życie, jak u Pana Boga za piecem...

MARYNIA *(z godnością):*

A no to dziękuję ślicznie...

WŁAŚCICIELKA *(z radością):*

Ja wiedziałam, że się nie zawiodę... Nie pożałuje panna Marynia,.

MARYNIA *(groźnie):*

Dziękuję ślicznie... Tylko, że ja już znam tego waszego Pana Boga i siedzieć u niego za piecem z Kajtkiem Marcjanny, która na ulicy zdychać będzie z głodu, nie chcę!

WŁAŚCICIELKA *(mrugając oczami):*

Maryniu! Czy ja dobrze słyszę? Co się stało?

MARYNIA:

To co pani słyszy. Nie chcę! Niech sobie pani innej stróżki szuka! A najlepiej niech pani już tej biedaczki Marcjanny nie rusza. Już ona przywykła do swojego losu i już w nim umrze! A na ulicę niech pani człowieka nie wyrzuca!

WŁAŚCICIELKA *(idąc ku drzwiom, pąsowa z gniewu):*

Co to, rady jakieś? Skąd to? Widzę zmiany tu zaszły... To pewno ta panna tak Marynię buntuję...

MARYNIA:

Czy buntuje czy nie buntuje, nie pani rzecz! *(Otwiera drzwi)*

WŁAŚCICIELKA:

Idę! Idę! Widzę, że coś panna Marynia dziś nie w humorze... Idę... idę... *(Wybiega pośpiesznie)*

(Marynia wraca na swoje miejsce, bierze książkę, rozwija ją a potem skrupulatnie zawija z powrotem; pukanie do drzwi, Marynia biegnie ku wyjściu, nagle znowu pukanie. Otwiera)

MARYNIA:

Mirek!

MIREK *(zuchowaty blondynek z wicherkiem włosów nad czołem):*

Panno Maryniu! Panno Maryniu! Panna Agnieszka mnie przysłała! Pyta czy może u Marcjanny przenocować, bo tu nie chce! A u nas tyle ludzi się zjechało, że miejsca ni ma!

MARYNIA *(składając ręce):*

Leć, Mirek! Leć! U mnie! u mnie nocować! Nie u Marcjanny! Powiedz, że u mnie! Leć, Mirek, leć!

MIREK:

Już lecę! Panno Maryniu! Widziała pani? Wojska pełno w Krakowie. Chy! I ruskich pełno! Z czerwonymi gwiazdkami! Jużem na koniu się przejechał! Taaaki koń!

MARYNIA:

Leć, Mirek, leć!

MIREK:

Już lece! Już lece!

KURTYNA

ODSŁONA DRUGA

Kuchnia Marynia siedzi przy stole. Pod ręką pruty sweter, który, widać, niedawno odłożyła. W obydwu rękach trzyma książkę. Sylabizuje uporczywie, z wysiłkiem. W całej jej postaci jest niezwykłe, wysilone „przypięcie" się do książki, niezwykła uwaga, pochłaniająca ją bez reszty.

MARYNIA:

Grzę-dy roz-cię-te mie-dzą... Na każ-dym przy-ko-pie sto-ją jak-by na stra-ży w sze-re-gach ko-no-pie.. *(Zamyśla się jakby sobie coś przypominała powtarza: Konopie... Gładzi w zamyśleniu książkę).*

Ci-che, pros-te i zie-lo-ne.. Ich liś-cie i weń slu-żą grzę-dom za obro-nę... *(obciera łzy wierzchem dłoni).*

rys. Magdalena Rudowska

Redaguje Zespół. Prenumerata miesięczna 4 zł Kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel 8-60-11 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze. Zakłady Drukarskie i Wkięsiodrukowe RSW „Prasa" W wa, Marszałkowska 3/5. Zam. Nr 1311 5-B 150069

I Nagroda w Konkursie Literackim „Dziś i Jutro"

KAMIENICY

żywo otwierać. Wchodzi Agnieszka z dwoma chłopcami w wieku od 12 — 14 lat. Obydwaj dźwigają stosy zeszytów).

MARYNIA:

No jakże tam? Mróz dzisiaj?

AGNIESZKA:

A mróz! Mirek! Tutaj kładź! *(Wskazuje miejsce na stole)* Ty przy nim, Janek!

MIREK:

Pani psorko! Kiedy próba? Mój tata doczekać się nie może kiedy będę za Gosławskiego!

JANEK:

A ja za Adlera!

MIREK:

Widzisz go! Też bohater! Kapitalista!

AGNIESZKA *(zdejmując płaszcz)*:

Jutro próba o piątej. Powiedźcie chłopcom a teraz zmykajcie!

(Chłopcy wychodzą)

AGNIESZKA *(z radością)*:
A ja mam furę nowin!

MARYNIA *(z goryczą)*:
Ano i ja mam nowiny...

AGNIESZKA:

No to po porządku.. Marynia pierwsza...

MARYNIA:

Zaraz, zaraz... Herbaty trzeba zrobić... Lepiej się będzie rozmawiać...

(Odwraca się do pieca)

AGNIESZKA:

No, to już powiem! Pokój przy szkole dostałam!

MARYNIA *(zapominając o herbacie)*

Pokój! No to już wszystko! To już wszystko!

AGNIESZKA:

Ale gdzie tam! To dopiero początek!

MARYNIA *(siada, wzdycha ciężko)*:

No, pewnie... dla Agnieszki początek... Potem pewnie dyrektorką zostanie albo jeszcze kimś większym... Może do gazet pisać będzie,

AGNIESZKA:

Już. Już napisałam! Przyjęli!

MARYNIA:

O, to... to... Aż zazdrość bierze, choć jak ognia człowiek jej się ma strzec... Cieszę się... z serca się cieszę... ale i zazdrość mi, szczerze mówiąc... albo też nie zazdrość... tylko... tu boli... *(wskazuje serce)*

AGNIESZKA:

Dlaczego, Maryniu?

MARYNIA *(cicho)*:

Bo... bo... i ja bym chciała tak... Dobrze pracować... Dobrze ludziom robić... prawdziwym ludziom... A tam gdzie Agnieszka pracuje dzieci małe są... Przedszkole... I kuchnię dla nich zakładają, jak to Agnieszka mówiła... A czy by tam nie potrzebny był kto? Jakże ja bym się starała! Ileż ja bym pociechy miała! A tak... a gdzież ja się obrócę jak Agnieszka odejdzie?

AGNIESZKA *(podchodzi do Maryni, kładzie jej rękę na ramieniu)*.

MARYNIA:

Agnieszka odejdzie... Te drzwi się zamkną... A mnie będzie jeszcze ciężej... jeszcze ciężej...

AGNIESZKA:

I jakże tak można mówić? Jakże tak można mówić?

MARYNIA *(podnosząc głowę z nadzieją)*:

Co? Nie? Będzie to inaczej?

AGNIESZKA:

Nie po to stary świat się zawalił i nowy powstał, żeby wszystko miało zostać po dawnemu... Nie po to świat się palił i krwią spływał, żeby krzywdę zostawić krzywdzie, choćby się ona skryła w tej kuchni za kratami...

MARYNIA:

No to... mogęż i ja... nadzieję jakąś mieć?...

AGNIESZKA:

Z tą nowiną tutaj biegłam! Ale nie wiedziałam... Każdy człowiek sam sobie swój los wybiera... Myślałam: a może już znudziła się Maryni ta praca przy garnkach? A może nogi bolą?

MARYNIA:

Nogi? Ale gdzie tam! Ale gdzie tam! Już nogi to mam zdrowiuśkie! A jeszcze jak w ziołach pomoczę... Jakże? Jakże? Będzie to miejsce dla mnie?

AGNIESZKA:

Ależ czeka tylko! I pokoik pięknie wyporządzony czeka! I dzieci czekają!

MARYNIA:

Dzieci czekają... *(Po chwili)* Ot, niezbadane wyroki Opatrzności... Nie da mi ona zginąć... *(Z wybuchem radości)* Agnieszko! Co ja mam robić? Bo z radości mało mi serce nie pęknie! Czym się wywdzięczyć.

AGNIESZKA:

Co robić? Herbaty zrobić! Ot, co! A ja w piecu napalę, bo zimno!

MARYNIA:

Migiem zrobię... Migiem!... Aj! jak to będzie pięknie... Jak to będzie ładnie... Rano... na targ pójdę... Wszystko pięknie, ładnie zakupię co trzeba... Bo dzieciom trzeba co najlepsze... co najświeższe...

(Stawia herbatę na stole, siada)

A po pracy to mi tam Agnieszka poprawi zeszyty? Co? Bo z pisaniem to u mnie gorzej niż z czytaniem...

AGNIESZKA:

No, chyba, że poprawię...

MARYNIA:

Bo taką ciekawość mam, że strach! Początek dopiero Pana Tadeusza co mi go Agnieszka podarowała znam a już końca nie mogę doczekać... A piękneż to, piękne...

AGNIESZKA:

E, jak tak dalej pójdzie to po roku pewnie Marynia przedszkolanką zostanie...

MARYNIA:

E, e e... to już żarty... to już żarty... Ani mi marzyć o tym...

AGNIESZKA:

Jakie żarty znowu? Prawda! A cóż by to była za Polska Ludowa, jakby ludziom rozwijać się nie dała! A coś mi się zdaje, że u Maryni to ruszy jak lawina! Kto wie... może z czasem kierowniczką przedszkola zostanie...

MARYNIA:

Żarty... żarty... Ale jak Agnieszka żartuje to i ja żartuję... Choć wtedy nie do żartów mi było...

AGNIESZKA:

Ależ ja nie żartuję!

MARYNIA:

No, to marzy... ot... marzy sobie...

AGNIESZKA:

Ano, marzę! To prawda! Tylko, że za moim marzeniem życie jak mur! A są takie co za nimi — śmierć!

MARYNIA:

Znam ja takie marzenia... znam... Et! wspominać się nie chce, bo jakbyś do dołu ciemnego zajrzał... Ale bo zapomnę com powiedzieć miała...

AGNIESZKA:

Coś o jakimś żarcie...

MARYNIA:

O, to, to... Przyszła tu właścicielka... Słodko, grzecznie, myślałbyś, że ci chce nieba przychylić... Aż w końcu wyszło szydło z worka...

AGNIESZKA:

Z takich słodkich worków zawsze najgrubsze szydła wychodzą... Czegóż ona chciała?

MARYNIA:

Ano, ten pokój jej spać nie daje... I te graty... Umyśliła go wynająć dla jakiegoś pana radcy... Z ziemiańskiej rodziny... powiada. Stary kawaler z matką... Chce się niby wydać za tego radcę... więc już żeby miał najwygodniej... To, mówi, ja te graty od panny Maryni kupię...

AGNIESZKA:

No, a z tobą, Maryniu, co?

MARYNIA:

Toż ja to samo: A ze mną, mówię, proszę pani, co?

AGNIESZKA:

A, ty Maryniu, powiada pani właścicielka, możesz być za stróżkę na miejscu Marcjanny...

MARYNIA *(zdumiona)*:

A skąd to Agnieszka wie? Czary czy co?

AGNIESZKA:

Nie czary... Dialektyka...

MARYNIA:

Kiedy nie rozumiem...

AGNIESZKA:

Jest taka nauka, po której jak po sznureczku można takie sprawy przewidzieć... No a co Marynia na ten awans społeczny.

MARYNIA:

No, ja wszystko grzecznie, pięknie wysłuchałam i mówię: Dziękuję ślicznie... Pięknie jej drzwi otworzyłam i pięknie zamknęłam... Nawet nie bardzo się rzucała... Ale biedna moja głowa... Kołuje i kołuje a o tym żarcie chcę mówić... Otóż Agnieszka mówiła o Polsce Ludowej.. To mnie w tym miejscu strach obleciał, że jak ona już tak mówi, to mi widać mojego Pana Tadeusza odbierze... Teraz dopiero zrozumiałam, że nie odbierze ale wtedy to się ziękłam...

AGNIESZKA:

Odebrałaby go ona, odebrała... Nie ma obawy... Już ona marzyć o tym zaczynała...

(Chwila ciszy, ogień buzuje, rzucając czerwony blask na ściany).

MARYNIA *(po chwili)*:

To niby można się już do tego pokoiku przenieść? Bo myślę, że im prędzej tym lepiej... Nie ma co tu czekać...

(Gwałtowne pukanie do drzwi)

(Marynia otwiera)

PANI ORDYŃSKA:

No, można czy nie można? Można czy nie można? Bom ten dom już z miesiąc omijała, takem się wystraszyła tym pożegnaniem! Takeś mnie pożegnała kochanko, że strach wspomnieć! *(Przygląda się impertynencko Agnieszce)*

A co to? Czy to nie ta sama co już raz u was była? Na początku wojny? Co, to? Tutaj mieszka?

AGNIESZKA:

Ta sama! Znam panią i ja! Sprzedawała pani bułki, które piekła Marynia i jeszcze jej pani za to nie zapłaciła!

PANI ORDYŃSKA *(trzęsąc nerwowo głową do Maryni)*:

A w jakim ty towarzystwie, kochanko, przebywasz? Co to za towarzystwo? *(Siada plecami do Agnieszki, na jej miejscu przy stole, rozwiązuje wstążki czepka, swobodnie)*

Po prostu, żeś mnie wystraszyła ostatnim razem... Dojść do siebie nie mogłam. Za tyle dobroci... względów jakieśmy ci wszystkie razem okazywały... raptem taka czarna niewdzięczność.

MARYNIA *(milczy)*:

PANI ORDYŃSKA *(ex catedra)*:

Jakże to? Już zapomniałaś? Mamże co Sołowce wspomnieć? Mamża ci wspomnieć panienkę?

AGNIESZKA:

Niech pani nie wspomina! Na nic się zda!

PANI ORDYŃSKA *(udając, że nie słyszy)*:

Myślę sobie: odczekam, aż się trochę uspokoi... *(Wyjmuje chusteczkę, obciera oczy).*

Biedna ona ta nasza panienka... Taka zacna... taka szlachetna. Obydwie były zacności dusze... Potem pomyślałam: toć przecie jeśli one obie zmarły to ja *(rzuca ukośne spojrzenie na Agnieszkę)* mam moralny, święty obowiązek zaopiekować się tobą. No i zaraz postanowiłam wypełnić to czym mnie Opatrzność natchnęła... Oto jestem! Wprowadzam się do ciebie! Już tam u siebie pokój wymówiłam... Będziemy sobie razem jakoś żyły... wspominały... O, widzę, żeś rzeczy wyniosła... No, trochę się sprzeda. Będzie miejsce... *(Wstaje, zagląda do pokoju)*. Szafę trzeba będzie przesunąć trochę, żeby zrobić miejsce na mój sekretarzyk... Ten wiesz, z okuciami... No... to ja teraz pójdę powiedzieć właścicielowi a ty, moja droga, przygotuj jutro obiad na dwie osoby... A może masz co do zjedzenia? *(Przypatruje się szklankom na stole)*. Co? Nie? Ach! Byłabym zapomniała! *(Wyjmuje z woreczka pakunek)*. Masz tu mąkę to na jutro rano bułeczki mi upieczesz... *(Z przymilnym uśmiechem)* Wiesz, takie ładne, gładziuśkie jak ty to umiesz... Resztę kup! I tłuszcz i co tam jeszcze potrzeba... *(Maca się po kieszeniach)*. Bo zapomniałam pieniędzy... No, bądź zdrowa, kochanko, bądź zdrowa...

AGNIESZKA *(która stała cały czas bez ruchu)*: Niech pani sobie tę mąkę weźmie! Nic z tego!

PANI ORDYŃSKA *(Trzęsie w rozdrażnieniu głową)*:

Co? Co? Mnie? Taki ton? Żeby jakiś intruz! Przybłęda! *(Dumnie prostuje się)* Kim pani jesteś? Skąd się tu wzięłaś?

AGNIESZKA *(ironicznie)*:

Kim jestem? Skąd się wzięłam? Może jeszcze: kto mnie rodził?

PANI ORDYŃSKA:

Maryniu! I to ty? Przyjaciółka Panienki, z którą ciągle razem wspominałaś Sołowce?

MARYNIA *(chwytając się za głowę)*:

Ja już myśleć nie chcę! Mnie serce pęknie!

PANI ORDYŃSKA:

Byłaś przy jej śmierci... pamiętasz?... Mówiła: kochaj mnie, Maryniu...

MARYNIA *(załamując ręce)*:

Mówiła... mówiła... kochajże ty mnie... *(Gwałtownie, groźnie)* Niech już pani tak do mnie nie mówi! Niech już pani nie mówi! Nic dobrego z takiego mówienia nie ma a samo złe!

Co było to było! Moja i Boga sprawiedliwego rzecz! Nie pani! A ja już życia wydrzeć sobie nie dam! Bo by mi pani życie tym mówieniem wydarła! A ja teraz chcę żyć! Chcę żyć! Chcę! *(Zbiera rzeczy trzęsącymi rękami, pościel zwija w węzełek, w drugiej trzyma zawiniętą w sweter książkę).*

Chodźmy Agnieszko!

AGNIESZKA:

(Wkłada płaszcz, bierze kuferek, zbliża się do stołu, na którym leży beret)

Zeszyty!

MARYNIA:

Później! Później! Jutro wezmę z Mirkiem! Już ani na chwilę nie chcę tu być! Ani chwili!

PANI ORDYŃSKA *(przerażona)*:

Maryniu... Maryniu...

MARYNIA *(Od drzwi)*:

Bo człowiek to nie pestka, żeby go można bezkarnie rozdeptać!

Ani nie robak co go można do końca kamieniem ugnieść! Robaka można! A człowieka nie! Nie można! Nie wolno!

AGNIESZKA *(otwiera drzwi, z daleka słychać potężną pieśń tłumu przechodzącego ulicą: „Gdy naród do boju...")*.

PANI ORDYŃSKA:

Maryniu... Ja stara...

MARYNIA *(od drzwi, łagodnie)*:

Toż na starość opamiętać się trzeba... Śmierć blisko... *(podchodzi bliżej)*. Niech pani sobie sprzeda te graty... *(Rozglądając się)* Mój krzyż! *(Biegnie zdejmować krzyż, owija go w sweter razem z książką)*

PANI ORDYŃSKA *(z jękiem)*:

Maryniu...

MARYNIA *(trzyma w pół zawinięty krzyż jakby się z sobą pasowała. Wreszcie zdecydowanym ruchem wiesza go z powrotem na dawnym miejscu. Stoi chwilę przed nim, kiwając głową, jakby coś rozpamiętując. Odwraca się nagle)*:

Niechże pani po mnie tę pamiątkę ma... On u mnie i tak w sercu na wieczność... Niechże Go i pani ma... Niechże.. *(Tonem prośby)* Niechże Go pani choć przy śmierci ma... W sercu... nie na ustach..

(Idąc ku drzwiom, które przytrzymuje Agnieszka tonem usprawiedliwienia) Ja tam mówić nie umiem... ale przecież człowiek... zawsze człowiek...

AGNIESZKA *(zamykając drzwi groźnie, z pasją)*: To na pewno nie byle co... łaskawa pani...

PANI ORDYŃSKA *(stoi jak przykuta do miejsca. Pieśń, choć słabo słychać jednak. Raptem słychać starczy, żałosny szept w którym jest groza i skarga)*:

Poszła?... Pooszła?... Pocoszła?

Kurtyna

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
ALAN PATON
PŁACZ UKOCHANY KRAJU
tł. Jerzy Gawroński
str. 288 zł 25.—

WZNOWIENIE

JAN DOBRACZYŃSKI
JEZUS CHRYSTUS I JEGO APOSTOŁOWIE
zł 15.—

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
Ks. EUGENIUSZ DĄBROWSKI
GLOSSY I ODKRYCIA BIBLIJNE
zł 25,—

NOWOŚĆ NOWOŚĆ
A. J. CRONIN
GWIAZDY PATRZĄ NA NAS
trzy tomy
zł 50,—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
cena zł 15.—

Jerzy Liebert
POEZJE ZEBRANE
cena zł 25.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZEBRANE
cena zł 25.—

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO Warszawa, nr I-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3,— na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

SPROSTOWANIE

Do artykułu Szymona Derenia pt. „Herold agresji" zamieszczonego w 23 numerze naszego pisma z dn. 6 czerwca br. wkradł się następujący błąd drukarski. W ostatnim akapicie tego artykułu (2 i 3 wiersz od dołu) zamiast „każda nowa agresja skończy się mniejszą klęską..." powinno być „każda nowa agresja skończy się nie mniejszą klęską..."

*

W recenzji Edmunda Misiołka pt. „Juliusz i Ethel" w tymże numerze w zdaniu zaczynającym się od słów „Chyba w jego oszczędności, dyskrecji, uzewnętrznieniu..." to ostatnie słowo winno brzmieć naprawdę: „uwewnętrznieniu".

WYJAŚNIENIE

Ponieważ anons o przyznaniu pierwszej nagrody w konkursie literackim zamieszczony nad fragmentem opowiadania Zbyszko Bednorza drukowanego w nr 23 „Dziś i Jutro" mógłby sugerować, że nagrodzony został ów fragment, wyjaśniamy, iż nagrodę przyznano za całość utworu pt. „Na obrocie", którego fragment zamieściliśmy.

---

13)

Znowu zostali sami. Mac Gleen odszedł, zbywając zaczepkę pogardliwym wzruszeniem ramion. Kerton bał się, że Lenoch wróci do przerwanej bójki. Napiął całe ciało jak sprężynę, gotów każdej chwili do obronnego skoku. Tamten jakby nie pamiętał tego, co działo się przed wejściem sierżanta. Siedział na łóżku odwrócony twarzą ku oknu. W gęstej od milczenia ciszy podskórnym strumieniem tajonego gniewu płynął między nimi czas. Słyszeli swoje nierówne oddechy.

Kerton rozluźnił sprężone mięśnie. Wydobył kopertę i powoli, drukowanymi literami wypisał na niej kalifornijski adres żony. Patrzył przez chwilę na wyraźne, konkretne słowa. Było w nich coś niesamowicie odległego. Po prostu nie mógł uwierzyć, że za tymi słowami żyje świat, który jeszcze kilka miesięcy temu był jego jedynym światem.

Betty Kerton. To brzmi jakoś nienormalnie. Tak. To jego żona. Pani Kerton. Byli sobie najbliżsi. Dla niej odszedł od wszystko umiejącej oddać miłości starej matki. Też pani Kerton. Jak tym paniom Kerton wytłumaczyć co się stało z porucznikiem Kertonem? Jak wrócić do tego, co było światem porucznika Kertona, światem młodej pani Kerton, światem starej pani Kerton?

Mac Gleen mówił mu, że jest pewny swojej Mary. Mary zrozumie. Jest prostą dziewczyną, ale zrozumie. Kiedy wyjeżdżał, mówiła mu: „Mac, dlaczego musisz babrać się w tych brudach? Mac, to jest podłe". Sierżant w rozmowie z Kertonem nie miał wątpliwości w swoją drogę powrotu. „Każda uczciwa droga prowadzi do Mary" — mówił. „Nie to jest najważniejsze, dodawał, ale to też jest ważne".

W Kertonie wezbrał nagły żal. Tak. Sierżantowi jakoś prościej się to układa. Po prostu: wali na przełaj. Błąkał się, unikali go, ale teraz wali prosto przed siebie. Wie czego chce, zbiera podpisy jeńców pod antywojenną odezwą, pluje na Pentagon, walczy o nowego siebie, walcząc —jak powiada — o inny świat. Niewola — jak powiada — wyzwoliła go z wolności amerykańskiego handlu ludzkim losem. Nad tamtą Ameryką postawił krzyżyk. Musi — jak powiada — być Ameryka inna. Wierzy w Amerykę taksówkarzy, dozorców, robotników, ubogich dziewczyn. Z nimi — jak powiada — był Lincoln. Przeciw nim, tamci.

No, tak. Sierżantowi z tą Ameryką udało się tak jak z Mary. W ostatniej chwili jednym rzutem decyzji wyrwał ją dla siebie z brudnych łap. Ale jak wrócić, jak ocalić dla siebie Amerykę panów, którzy mają wille, pań, które lubią misterne dywany, Amerykę pań Kerton? Nie nazywały jego wojny brudną wojną. Wysyłały go na krucjatę. Dawały krzyżyk, pieszczotę, sekretne, bezradne odruroczenia, które chronić miały przed bestialstwem żółtych diabłów. Jak do tego świata wrócić? Z czym? Co powiedzieć? W co wierzyć?

Powoli, jakby nie wiedząc nawet o tym, rozerwał zaklejoną kopertę. „I tak będą musieli sprawdzić co piszę" usprawiedliwił się przed samym sobą. Przeczytał jeszcze raz kilka bezładnych zdań. Czegoś mu brakowało w tym liście. Po chwili dopiero uświadomił sobie ten brak. Dopisał krótkie Post scriptum: „Jestem tu z sierżantem Mac Gleenem. Razem z nim będę chciał wrócić. J. K." Troskliwie schował list do wewnętrznej kieszeni.

Gdy zapinał guzik, przyszła spóźniona refleksja: „Przecież Betty nie zna Mac Gleena. Co jej może powiedzieć nazwisko szofera z Chicago? Przekreślić? Nie. Nie będzie przekreślał. I tak z tego listu niewiele mogą tam zrozumieć. A z tym dopiskiem jest lepiej".

Nie wiedział, dlaczego lepiej. Czuł po prostu, że lepiej. Jakoś poomacku szukał drogi i ta wydawała mu się najwłaściwsza.

„Może dlatego Lenocha tak gniewa nasza komitywa? Może dlatego jest taki wściekły? A może dlatego ja tak trzymam z Mac Gleenem, że odrzuca mnie od Lenocha? A może..."

Z niechęcią odsunął od siebie natrętne przestawianie kombinacji. Zerknął na tamtego. Dawał właśnie komuś znaki przez okno. Kazał komuś czekać na dworze. Tłumaczył na migi, że zaraz wyjdzie. Nie patrząc na Kertona, pokuśtykał ku drzwiom. Kerton nie odwrócił głowy. „Znowu jakieś konszachty z tym podejrzanym sanitariuszem" — pomyślał leniwie w nadchodzącej fali snu.

„Powinienem mocniej wkroczyć w tę aferę. Oni knują coś niedobrego. Ale Lenoch jest tchórzem. Wie on o tym, że ja o tym wiem.. Nie odważy się. Dopóki jesteśmy razem, nie odważy się. Ma pianę na pysku, ale w środku siebie — robaczywy strach. Zresztą, nic konkretnego nie wiem. Może ten żółty poprostu wykrada dla niego coś lepszego do żarcia. Lenoch ciągle piszczy na bób, soję i rozgotowany ryż. Jutro wyjeżdżamy, jutro już się skończą te poszepty i tajemnicze znaki. Jutro... Co jutro? Acha, trzeba spać, bo jutro długa podróż..."

Już od wielu tygodni nie trwożyły go sny. Kołysał się bezpiecznie na ich płytkiej wodzie, jak łódka przywiązana liną do nadbrzeżnego palika. Zawsze kiedy chciał — mógł się obudzić. Dyktował sobie nawet obrazy. Przywoływał Betty. Przychodziła posłusznie. Jednego tylko nie mógł zrozumieć. Betty miała skośne oczy. Początkowo męczyło go to bardzo, później przywykł, ostatnio zaczęła mu się podobać z tą zmienioną twarzą. Wyglądała tak jakby się dziwiła. Uśmiechał się od niej. Brał ją delikatnie za rękę i spokojnie tłumaczył: „Nie martw się, Betty, wszyscy się zmieniamy. Tak powinno być. Jesteś ładna. Bardzo ładna. Nie martw się". Betty na początku była nadąsana, później dawała się rozchmurzyć, wciągała go w ciepło swoich pieszczot.

I teraz przyszła ze zdziwionymi w skośnym wycięciu oczyma. We włosy wpięła coś barwnego, co wyglądało jak motyl, czy jak kwiat. Od pierwszego dotyku jej ręki poczuł drżące w niej pragnienie. Zapaliła go tym dotknięciem, jak pochodnię. Żar od razu uderzał mu do głowy. Palce stawały się chciwe, wyczulone jak struny. Przenikał go jakiś cichy, monotonny krzyk czy śpiew, którego nigdy nie słyszał, a który wydawał mu się śpiewem i tańcem jednocześnie, miał w sobie coś z dzikich, nabrzmiałych żądzą zawodzeń.. Gdzieś w oddali łomotał bęben, sypał się suchy deszcz twardych, werblowatych uderzeń. Betty wyginała się w blasku ognia, pląsała coraz bardziej gibko, coraz gwałtowniej wstrząsana rozpłomieniającym się w niej pożarem, coraz bardziej upragniona przez napięte struny palców...

Głos ukrytego gdzieś w mroku bębna czy tamburynu coraz głębszym nabrzmiewał basem. Rósł, potężniał, pękał gwałtownymi pojękami.

Kerton szarpnął głową. Otworzył szeroko oczy. Głos tamburynu nie umilkł. Wstrząsał całym barakiem. Walił raz po raz.

Przez sąsiednią salę przebiegł długi, ostrzegawczy krzyk:

— Phiengi! Phiengi! Phiengi!

Kerton już wcześniej uświadomił sobie, że to odgłosy bliskiego bombardowania. Za oknem dojrzał ludzi, pędzących ku pobliskim zaroślom, maskującym schron.

Nie wiedział, jak znalazł się na dworze. Jednym rzutem ciała wyważył okno. Kątem oka dojrzał nadlatującą eskadrę. „Pantersy" i „Sky-raiders" — odnotował jednak w panicznym pośpiechu. Szły nisko, rozzuchwalone anemicznym ogniem koreańskich zenitówek.

Kerton wiedział, że nie dobiegnie do zamaskowanego schronu. Skoszą go ogniem pokładowym. Skoczył więc kilka kroków w bok od baraku i runął w kępę gaolianu.

Leżał tam z twarzą upaćkaną błotem, nieprzytomny prawie z podniecenia, Lenoch. Syczał prosto w ucho Kertona, jakby tylko na niego czekał:

KONRAD EBERHARDT

SPOTKANIE Z PRZYJACIÓŁMI

PRODUKCJA wydawnicza w Polsce przypomina morze, w którego głębi trudno się zorientować i nie można objąć wzrokiem brzegów. Ukazują się setki tytułów, i zostają rozchwytane prędzej zanim mogliśmy wziąć je do ręki. Okazuje się, że chłonność kulturalna ludności polskiej nie tylko wielkich miast, ale również małych miasteczek i wsi jest tak wielka, że zdolna jest pochłonąć to ogromne morze. Same cyfry urzekają nas magią swej wielkości. W r. 1953 ukazało się 4 635 pozycji w 87,9 mln. egz., a rok bieżący przewiduje 5069 tytułów zawierających 60 tysięcy arkuszy. To znaczy przeciętnie cztery książki na 1 człowieka. Każdy człowiek w Polsce zdobył czterech przyjaciół, dzięki którym niezależnie od odległości od szlaków komunikacyjnych może poznać nieznane strony świata.

Generalnym przeglądem naszych książkowych przyjaciół jest warszawski kiermasz książkowy w ramach Dni Oświaty, Książki i Prasy. Dni radosnego poszukiwania ludzkich losów wplątanych w czarne, wąskie linie druku. Dni, gdy na książki pada letnie słońce przesiane przez liście drzew al. Stalina.

Trudno oddać słowami nastrój tego niedzielnego przedpołudnia, gdy książki przyjmują defiladę tysięcy ludzi, tych, którzy są stałymi ich wielbicielami i tych, którzy dopiero zawierają znajomość. Zieloną od drzew i białą frontonami pałacyków ulicą płynie różnobarwna fala ludzka... Co chwila ktoś zatrzymuje się. Młode ręce zwinniej niż starsze wyszukują wśród stosów książek właśnie tę, o którą chodzi i która rozpocznie swą służbę ofiarowując cały zapas swej wiedzy o życiu. Zauważyłem jak jeden z chłopców kupował „Odyseję" w przekładzie Parandowskiego. Wydało mi się, że widzę go pośród fal, jak towarzyszy wielkiemu żeglarzowi w poszukiwaniu zagubionej Itaki. Inny trzymał w ręku zielono-oprawny tom wierszy Gałczyńskiego, którego już nie ma między nami i szedł czytając strofy poematu „Niobe" potrącany przez przechodniów, porwany muzyką słów, nie zagłuszonych szumem przelatujących aut, ani gwarem ludzkich głosów. Szedłem przez chwilę za nim i spoglądałem przez ramię. Pozostał mi w pamięci ten poetycki strzęp, zdanie napisane po francusku, którego ten chłopiec może nawet nie zrozumiał:

„L'art, l'art tu es Niobe, l'art qui rit et qui pleure

Plus vaste que vos canons, plus doux que le bonheur"...

Tak, „sztuka silniejsza od dział i słodsza niż szczęście". Teraz już wiem, dlaczego właśnie to zdanie utkwiło mi jak refren w pamięci... Bo o kiermaszu książki można pisać dając sprawozdanie z ilości stoisk poszczególnych wydawnictw, z zaopatrzenia, podając, że sprzedano jednego dnia ok. 50 000 egzemplarzy, że obroty sięgają setek tysięcy złotych, że podpisywali książki tacy, a nie inni autorzy. To prawda. Ale można również, idąc wzdłuż długiego szpaleru stoisk, wysnuć refleksje ogólniejsze, zastanowić się nad sensem tego spotkania. Cóż ono nam daje? Nie zawsze bowiem zdajemy sobie sprawę, jak wielką naszą siłą jest sztuka, ta — mocniejsza od dział i od śmierci odradzająca się na gruzach miast, niezniszczalna... Odradzają się na popiołach przenosząc z pokolenia w pokolenie idee braterstwa między ludźmi i między narodami. Wydaje się również, że nigdy nie uświadamiamy sobie moralnej siły, jaka płynie ze sztuki, z literatury, a jednak gdyby pozbawiono nas całkowicie poezji Słowackiego i Tuwima, podobnie jak muzyki Chopina o ile życie stałoby się bardziej szare, ubogie, puste... Spoglądając na stoiska pełne książek mimo woli zwracamy się myślą ku czytelnikom amerykańskim, którym odbiera się klasyków, a na to miejsce wtłacza się miliony egzemplarzy „książek" wypełnionych wizją zagłady atomowej śmierci i recept na przepisową zbrodnię..

Przy stoisku „Czytelnika" podpisuje książki Maria Dąbrowska. Poprzez pierścień głów ledwie można dostrzec małą figurkę pisarki, tej, która przez karty swej wielkiej powieści pozwoliła przepłynąć potokom zwykłego, szarego życia z jego troskami i momentami radości i z jego wielką ludzką godnością. W stoisku Wydawnictwa MON urzęduje Jerzy Putrament, autor „Września" i niezmordowanie podpisuje podsuwane mu egzemplarze. Jakaś dziewczynka z pamiętnikiem w ręku, „łowczyni autografów" stoi nieśmiało na uboczu, ale i ją porywa fala ku stoisku. Za kilka minut wychodzi czerwona z wrażenia z kręgu otaczających ludzi. „Mam — woła do koleżanki — podpis pisarza!" Trzeba było słyszeć z jaką dumą ona powiedziała „pisarza". Sądzę, że gdyby autorzy mogli być „wszechobecni" na kiermaszu i usłyszeli jak wielkim szacunkiem otacza się tutaj słowo „pisarz" i jak wiele się od niego wymaga — byłoby im wstyd, że do pisarstwa swego nie przykładają najwyższej miary, że często wykręcają się byle czym, idą na łatwizny i komunały...

W sąsiedztwie stoiska „Czytelnika" stanął kiosk „Veritasu" sprzedający książki wydawnictwa „Pax". Przeglądając rozłożone na nim wydawnictwa dochodzę i w tym wypadku do ogólniejszych wniosków. Myślę o tym, że wszelka praca nad kulturą współczesną, nad kulturą ludzi wolnych, świadomych swych dążeń wymaga zjednoczenia wszystkich sił, wszystkich ludzi pragnących pokoju i zwykłego, ludzkiego szczęścia niezależnie od ich przekonań filozoficznych. W tej walce mają swoje miejsce również katolicy. Oto w tej chwili jakiś starszy pan zapytuje o „Wstęp do nauki św. Augustyna" wielkiego filozofa francuskiego Gilsona. Rozchodzą się szybko książki ks. prof. Dąbrowskiego. Znikają tomy wielkiego eposu Sygrydy Undset, powieści Jana Dobraczyńskiego... Przy stoisku siedzi Wanda Chylicka, autorka nowego tomu opowiadań „Ucieczka i powrót", oraz poeta Mikołaj Rostworowski. Przed nim kilka egzemplarzy wydanego niedawno tomiku nowych poezji p. t. „Przeciw nocy". Z pochodu ludzi przepływającego obok co chwila ktoś wychodzi, zatrzymuje się, przegląda tomik, wreszcie prosi o podpis spoglądając z ciekawością na twórcę. Wielu z nich po raz pierwszy miało możność ujrzenia poety „na własne oczy". Przypomniało mi się wtedy zawołanie Bernanosa „Boże, spraw, abym ja i moje książki byli na łasce przechodni..." I oto tak się stało. Książki zeszły z wysokich półek księgarskich, zza wystaw sklepów na ulicę, między przechodniów. Zostały przecież dla nich napisane. Jeśli przejdą, nie zatrzymają się — widać nie są im potrzebne, nie spełnią w ich życiu żadnej roli... Ale na tym kiermaszu nie było chyba książek, do których nie zbliżyłaby się ludzka ręka szukająca chwili mądrej zadumy lub nawet twórczego sprzeciwu. Ręce ludzi budujących życie na nowych fundamentach.

...Z głośników przez gałęzie drzew sączyła się wraz ze słońcem pogodna melodia, w dniu radosnego spotkania z przyjaciółmi, z którymi łatwiej nam iść przez życie, walczyć i kochać

Kapłan katolicki a postęp

(Dokończenie ze str. 3).

go też obalenie takiej władzy nie ma na celu buntu (w sensie rozkładowym), chyba tylko w wypadku, gdy sposób obalenia władzy tyrana tak dalece jest sprzeczny z zasadami ładu społecznego, że obalenie jej okazuje się w skutkach gorsze dla poddanej społeczności niż dotychczasowa władza tyrana. Ponieważ tyran dla zabezpieczenia swego panowania postępuje tak, że jest przyczyną niezgody i buntu poddanego sobie ludu, on raczej jest buntownikiem; takie bowiem zabezpieczenie swej władzy jest tyranią, ponieważ ma na celu jedynie osobiste dobro rządzącego, zdobyte ze szkodą całej społeczności". Wydaje się, że łatwo można rozszerzyć naukę św. Tomasza podstawiając w miejsce tyrana klasę społeczną, która zabezpiecza sobie panowanie ze szkodą całej społeczności nie troszcząc się o dobro ogółu, o postęp społeczny, lecz o swe prywatne dobro.

KAPŁAN KATOLICKI A POSTĘP

ROZUMIEJĄC istotę postępu w katolickim jej ujęciu kapłan społecznie postępowy winien rozumieć rozwój świata i człowieka oraz przemiany historyczne zachodzące w rzeczywistości go otaczającej. Winien umieć odkryć w biegu wydarzeń prawdziwe elementy i spojrzeć na nie z katolickiego punktu widzenia. Nie dość na tym, winien wskazywać wiernym jasne, konkretne i chrześcijańskie rozwiązania nurtujących ich problemów. Jacek Woroniecki w książce „U podstaw kultury katolickiej" pisze: „w skarbcu językowym katolicyzmu istnieje termin „sensus catholicus", którym się nieraz posługujemy i który w ogólnych zarysach jest dość jasny. Oznacza on to głębokie i całkowite przejęcie się zasadami katolickimi, sprawiające, że człowiek w każdej niemal sytuacji życiowej bez długich wahań i namysłów znajdzie od razu katolicki punkt widzenia i katolickie rozwiązania"; taki „sensus catholicus" w najgłębszym ujęciu tego zagadnienia winien cechować księdza społecznie postępowego po to, by umiał nowe problemy współczesne naświetlić z punktu widzenia nauki Chrystusowej w sposób przekonujący i prawdziwy. Tempo współczesnego postępu wymaga od kapłanów stałego aktualizowania swych poglądów, by jego rozumienie człowieka współczesnego i epoki było aktualne. Wydaje się, że szczególnie na czasie jest dla kapłana współczesnego hasło rzucone przez Horacego a ochrzczone przez św. Augustyna „homo sum, ergo nihil humanum a me alienum esse puto". („Jestem człowiekiem, uważam więc, że nic ludzkiego nie jest mi obce").

Kardynał Suhard w swoim orędziu zatytułowanym „Zmysł Boży" pisze: Nie macie prawa czekać na zdarzenia, gdy one czekają na was. Jeśli was zabraknie, wszystko może runąć, gdyż nic nie wytrzyma sił, które wam zagrażają. Jeśli natomiast będziecie obecni, wówczas, w granicach możliwości, nadacie kierunek wypadkom. Pamiętajmy, że wiara bez uczynków jest martwa. Nie chodzi o to, żeby zwolnić tempo. Wręcz przeciwnie, trzeba angażować się do dna wszędzie gdzie się da. Zarówno kapłan jak i ludzie świeccy stają wobec zdarzeń, które apelują do wszystkich tych zasobów kochania, działania, służby ofiarnej.

Biskup Angers ks. Chappoulie z okazji uroczystości ku czci św. Remigiusza biskupa Reims z V wieku pisze: „historia z łatwością rozwiązuje problemy, które, wówczas gdy stają przed nami, wcale nie wydają nam się takie proste do rozwiązania. Wokół świętego Remigiusza wszystko było ciemne i niejasne, choć dziś wydaje się to nam takie proste. Potrzeba było, by biskup Reims miał tak głęboką i przewidującą inteligencję oraz wielką siłę ducha, by wybrać drogę, którą poszedł. Wielu współczesnych mu ludzi uważało politykę jego w stosunku do Klodwiga za bezbożniczą i zdradą nazywało jego odwagę przyjęcia wobec pogan postawy przyjacielskiej. Tak samo i dziś, po to by zrozumieć tę siłę, której nie można powstrzymać, która kieruje świat w stronę nowej formy cywilizacji, trzeba tak jak w wieku piątym wiele inteligencji i siły. Potrzeba nam olbrzymiej miłości Boga i ludzi, wiele wyrzeczeń i wiele wiary, by wyswobodzić się od dawnego sposobu rozumowania i odczuwania, który stał się dla nas katolików wprost tradycyjny".

Kapłan społecznie postępowy to człowiek przejęty do głębi prawdami religii katolickiej i zaangażowany do ostatka służbie Bogu i bliźnim, to człowiek rozumiejący, że droga zbawienia i postępu ludzkości biegnie po ziemi, a on, ksiądz, służąc Bogu, jest głęboko odpowiedzialny za bieg historii, za postęp ludzkości. Zwrócony stale ku wiecznym prawdom Bożym rozumie świat doczesny i tkwi w nim głęboko, by go uświęcać i oddać Chrystusowi.

A. NICOLAS - KS. E. DĄBROWSKI

ŻYCIE MARYI MATKI BOŻEJ

Wysyła Biuro Sprzedaży „Pax" Warszawa, Mokotowska 43 za zaliczeniem pocztowym lub po wpłaceniu należności na konto PKO W wa 1-8515/114. Przy wpłatach na PKO prosimy doliczać zł 3 na koszt przesyłki.

Do nabycia we wszystkich sklepach „Veritasu".

Rozwiązanie konkursu „ZACZAROWANE WIOSNĄ KARTKI"

Drodzy Czytelnicy — Uczestnicy konkursu!

Dziękujemy Wam za pomoc okazaną nam przy „odczarowywaniu" „zaczarowanych wiosną kartek", za serdeczne życzenia składane nam z okazji 5-lecia Wyd. „PAX" — oraz za przyjemną niespodziankę (stała się ona dla nas nadprogramową korzyścią konkursu), jaką przyniosły nam Wasze rozwiązania. Fakt, iż ponad 85 proc. nadesłanych przez Was rozwiązań było **trafnych** — świadczy wyraźnie o stopniu znajomości przez Was — wydawnictw beletrystycznych „PAX", o ich popularności.

Podając rozwiązanie konkursu oraz jego wyniki — wyrażamy nadzieję, iż nasze przyszłe konkursy będą coraz to lepsze i — ciekawsze.

REDAKCJA

PRAWIDŁOWE ROZWIĄZANIE KONKURSU

Tekst	Tytuł powieści	Autor	Imię bohatera	Rys.
1	„Klucze królestwa"	Cronin	o. Chisholm	G.
2	„Listy Nikodema"	Dobraczyński	Nikodem	D.
3	„Bolesław Chrobry"	Gołubiew	Bolko	E.
4	„Barabasz"	Lagerkvist	Barabasz	F.
5	„Szukając drogi"	Kolendo	Lena	H.
6	„Chwała córy królewskiej"	Marshall	ks. Smith	B.
7	„Oskarżenie"	Schneider	Las Casas	C.
8	„Krystyna córka Lavransa"	Undset	Krystyna	A.

W wyniku losowania jakie odbyło się w naszej redakcji w dniu 5.V br. — nagrody otrzymują następujące osoby:

1. nagrodę (Komplet 8 powieści będących przedmiotem konkursu) otrzymuje: **T. MACIEJEWSKA — Tczew, Stalina 25**

2 nagrodę (Komplet S. Undset: „Krystyna córka Lavransa" i „Olaf syn Auduna) otrzymuje: **MARIA MALENTA, Zduńska Wola, Mickiewicza 13**

3 nagrodę (Komplet A. Cronina: „Klucze królestwa", „Gwiazdy patrzą na nas") otrzymuje: **ZBIGNIEWA SLIWOWSKA, Wrocław, Plac Polski 3/4**

20 równorzędnych nagród po 1 powieści „PAX" otrzymują: 1) Jan Turnau — Wrocław, Grottgera 18; 2) Szczepan Pieszczoch — Kraków, Tynitarska 11; 3) Leszek Graniewski — W-wa, Lwowska 10/22; 4) Ryszard Bender — Łomża, Dworna 23; 5) Bronisław Łabuda — Nysa, Bracka 18 (WSD); 6) Florian Nazaruk — Lublin, Sławinek 27/31; 7) Mirosława Kuczyńska — W wa, Al. 3 Maja 7/33; 8) Teodor Wyrwa — Pabianice, ul. Bohaterów 17; 9) Jadwiga Podleska — Gliwice, Oleśnickiego 5; 10) ks. Eugeniusz Strzemieńczyk — Bytom, ul. Ks. Koziołka 3, 11) Maria Głaszczkówna — W-wa, ul. Łękocińska 16; 12) ks. Franciszek Ryszka — Chełm Wielki, Ogrodowa 1; 13) Zofia Kawecka — W wa ul. Swarzewska 67/2; 14) Halina Stroińska — W-wa, ul. Marszałkowska 58/36a; 15) Kazimierz Marks — Wrocław 9, ul. Monte Cassino 29/2; 16) Józef Liszka — Siemianowice Sl., Smiłowskiego 1/5; 17) Elżbieta Kwaśna — Szopienice, Obrońców Pokoju 3; 18) Janina Wierusz Kowalska — W-wa, Grażyny 3/10; 19) Krystyna Cybińska — Wrocław Księżno Małe, Stalinogrodzka 40/2; 20) Jerzy Śnieżko — Wrocław, ul. Kazimierza Wielkiego 42/19.

— Wracają z roboty. Piętnaście kilometrów stąd. Składy amunicji. Mapka się przydała. Walili jak na manewrach. Nie ma się czego bać. Lecą bez ładunku. Nas nie ruszą. My...

Powietrzem targnął huk. Na środku podwórza trysnął ku górze snop ziemi. Lenoch krzyczał:

— Nie będą! Nie będą! Na dachu jest przecież znak czerwonego krzyża.

Nie dojrzał oczu Kertona. Obydwu przygniótł ku ziemi nowy wybuch. Gdy unieśli głowy, z dachu baraku szpitalnego wybuchły czerwone wstęgi pożaru.

Głos motorów cichł. Eskadra oddalała się w kierunku Inczonu. Ku płonącemu budynkowi biegli ludzie, którzy ukryli się w schronie.

Kerton poderwał się wraz z nimi.

4

„Zmierzch zawsze jest czymś kojącym. Zaciera brutalną ostrość dnia. Dobrze jest słyszeć nadchodzący wieczór".

Kerton sam dziwił się poetyczności swoich myśli. Wiedział, że zaciera nimi, lub raczej otula jakąś inną myśl.

Było mu dobrze. Siedział otulony grubą derą. Ręce piekły boleśnie. Z prawej dłoni schodziła skóra. Na lewej pęcherze bielały wezbraną wodą. Na twarzy oparzeliny szczypały ostro, kąśliwie. I twarz i ręce poddawał chłodzącemu wiatrowi.

Było mu dobrze. Patrzył na zwęglony w połowie barak, obserwował krzątaninę sanitariuszów, żołnierzy i lżej chorych. Sycił się swoim pokojem. „To chyba z osłabienia" próbował przed sobą ukryć samego siebie.

Wydarzenia ubiegłych godzin bardzo go wyczerpały. Usiłuje odtworzyć wszystko po kolei. Rwie się jednak to wszystko, rozpada w drobne odpryski wspomnień.

Jednego jest pewien. Kiedy — wraz z innymi — wskoczył do płonącego baraku, nie zastanawiał się, co go pcha w rozszalały ogień. Dopiero gdy zobaczył tamtego żołnierza z opaską na oczach, jak — podwójnie ślepy — brodził wśród dymu i płomieni, olśniła go pewność, że po to jest, aby mu pomóc, po niego właśnie tu wbiegł.

Pamięta tamtą mękę wśród ognia. Żołnierz z opaską na oczach był u kresu sił. Gdy poczuł obejmujące go ramiona, zwisł w nich niemal bezwładnie. Była chwila — Kerton lekko drży w kokonie derki — kiedy myślał, że już zostaną tam obaj.

Łapał szeroko otwartymi ustami tylko rozprażoną suchość i dym. Ostatnie metry czołgał się na czworakach. Załamał się dopiero pod strumieniami wody, gdy już otoczyła go na dworze ściana rozkrzyczanych ludzi w białych tarłuchach i zielonych szynelach.

Pamięta jeszcze — czuje, że to jest najważniejsze, że stąd jego spokój i skupiona radość — pamięta błysk oczu zza drucianych okularów i to jedno, bez nacisku, jakby z wahaniem wypowiedziane po angielsku słowo.

— Dziękuję.

Kerton otula się szczelniej derką. Ręce i twarz pieką coraz dokuczliwiej. Przypomina sobie bladą twarz żołnierza z opaską na oczach. Płomienie żarły mu włosy, osmaliły policzki. Poruszał lekko ustami.

Tak. Kerton wie nareszcie. To był ten żołnierz, o którym pisał w swym ceratowym zeszycie Wu-czen. Nazywał się, nazywa się — na pewno pamiętam — Pen-hu.

Nagle myśl zaweźliła się głębiej: „To znaczy, że to ten, który wtedy, któremu ja..."

Kerton chce się wyzwolić z narzuconych nagłym przypomnieniem skojarzeń. Odwraca głowę. Chce o cokolwiek zaczepić pozbawioną spokoju myśl.

Idzie ktoś ku niemu. Cokolwiek powie, trzeba przyjąć jako sprawę ważną, godną uwagi.

Kerton spojrzał w twarz Wu-czena. Zanim tamten odezwał się do niego, Kerton poczuł, że usłyszy coś złego. Za okularami w drucianej oprawie migotał stalowy błysk jeszcze bardziej przez półmrok zwężonych oczu.

— Poruczniku Kerton, znaleziono sierżanta Mac Gleena z nożem w boku. Musimy wszcząć śledztwo. Nie wierzę, by uczynił to żołnierz koreański. Ranny umrze chyba jeszcze tej nocy. W krótkiej chwili przytomności, zanim ponownie zemdlał przy opatrunku, wypowiedział dwukrotnie wasze nazwisko. Czy macie coś do powiedzenia?

rys. Andrzej Pol

— Głos był twardy, oficjalny, ale drgało w nim coś więcej niż pytanie. Kerton odczuł prośbę i rozkaz.

Rozejrzał się wokoło.

Wu-czen poszedł za jego wzrokiem.

— Szukacie Sek-tin-wo? Aresztowano go zaraz po nalocie. Jeden z żołnierzy widział jak dawał sygnały samolotom amerykańskim. Jutro będzie rozstrzelany. Skamlał, by przyjąć od niego jakieś zeznanie. To odwlokło egzekucję.

Kerton odwrócił nagle głowę. Trafił prosto na twarz Lenocha. Stał o jakieś pięć metrów od nich. Widać było, że słyszał wszystko.

Kerton przełknął ślinę. Patrzyli na siebie jak już nieraz tam, w izbie szpitalnej. Wu-czen spoglądał na obydwu w wyczekującym milczeniu. Lenoch dojrzał w oczach Kertona błysk decyzji, bo cofnął się do tyłu, rzucił dokoła spłoszonym wzrokiem i w beznadziejnej próbie ucieczki skoczył długim susem ku gęstniejącemu mrokowi zarośli.

Ostry gwizd poraził go jak prąd. Stanął, szarpnął kołnierz szynela, błysnął czymś złotym i pobiegł dalej.

Kerton przysiadł na odwróconym dnem do góry wiadrze. Widział kilku żołnierzy otaczających kępę zarośli ciasnym pierścieniem. Zacieśniali pierścień coraz bardziej, jak niewód sieci. W Kertonie bardzo wolno, jakby w mgle odnajdywały się myśli. „Lenoch leży tam w środku. Ryba wyrzucona na piasek. Jest sam. Nie ma wyjścia. Tamci nie zdążą. Nie zdążą. Na pewno nie zdążą".

Pierścień zamknął się ciasnym wieńcem głów. Kerton widział ich krótkie pochylenie. „Już go doszli. Już jeden wraca. Opowiada coś innym." Kerton podnosi się ciężko. Ból w oparzonych dłoniach pulsuje płynnym ogniem. Trzeba iść. Trzeba zobaczyć. Trzeba spełnić i ten obowiązek.

Szedł wolno. Zbyt wolno. Czuł niechęć wobec każdego kroku. Żadnego kroku nie mógł jednak cofnąć. Pochylił się wreszcie nad Lenochem. W zaciśniętej pięści błyszczał łańcuszek z otwartym puzderkiem medalionu. Na twarzy kładły się głębokie plamy nocy.

Kerton wracał jeszcze wolniej. Potykał się o nierówności gruntu, przystawał dla zaczerpnięcia oddechu, chłodził w lekkim wietrze rozżarzoną twarz. Wreszcie dotarł do swojego miejsca. Otulił się derką. Brodę wsparł na podkurczonych kolanach, kolana oplótł ramionami i nieruchomo patrzył w noc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANTONI ŁUBKOWSKI

KRAKOWSKA DYREKCJA LUDWIKA SOLSKIEGO

(1905 — 1913)

NIEWESOŁE było życie pierwszych dyrektorów ufundowanego w 1893 r. nowego Teatru Miejskiego w Krakowie. I wiele przyczyn na to się składało. Kraków na przełomie wieków był zwykłą, prowincjonalną mieściną, „z nienaturalnie rozdętą głową na malońkim korpusie" — jak to przepysznie określił Boy. Mieściną nie sięgającą setki tysięcy mieszkańców, w czym poważny procent stanowiła „elita" społeczna i umysłowa z mitycznymi już „Baranami" Potockich i „Szlakiem" Tarnowskich na czele. Mieściną nie posiadającą minimalnego choćby zaplecza gospodarczego. I ten ostatni brak najpoważniej wpływał na losy ówczesnego Krakowa: z jednej strony pozbawiał miasto funduszów, wystarczających na utrzymanie teatru na poziomie ambitnych zamierzeń, z drugiej sprzyjał utrzymywaniu się dusznej, niezdrowej atmosfery w górnych warstwach mieszczaństwa, gdyż brak przemysłu oznaczał brak zdeterminowanej siły społecznej, ważniejszej historycznie od szalejących nad miastem burz w literackiej szklance wody.

Kraków nie dysponował tymi masami publiczności robotniczej, które 1 maja 1904 r. mógł witać we Lwowie Pawlikowski, jako „najszanowniejszą publiczność, jaka kiedykolwiek zasiadła w tej sali".

Druga trudność mieściła się na innej płaszczyźnie. Teatr był własnością miasta, a dyrektor teatru — zarazem jego dzierżawcą. Rolę buforu między radą miejską a dyrekcją spełniać miała specjalna komisja teatralna, działająca z ramienia rady. Niestety — dość problematycznie wywiązywała się ona ze swego zadania: była po prostu z zasady powolnym narzędziem rady miejskiej. W skład jej wchodzili ludzie niezdolni na ogół do opieki nad tym teatrem, którego szczytne zamiary scharakteryzował napis na frontonie gmachu: „Kraków — narodowej sztuce". Nieliczne wyjątki w składzie rady — jak Karol Estreicher, autor „Teatrów w Polsce" — nie mogły zmienić smutnego stanu rzeczy.

Jednym z zadań komisji teatralnej było układanie kontraktu zawieranego między radą miejską a dzierżawcą - dyrektorem. Teksty tych kontraktów określają dostatecznie prawdziwy stosunek „ojców miasta" do teatru. Sens tego stosunku doskonale podchwyciło satyryczne pismo „Diabeł" publikując w 1911 r. parodię takiego kontraktu:

§ 2. Dzierżawca, o ile teatr dostanie, może być zadowolony, że mu się to udało.

§ 5. Każdy z panów radnych ma wolny wstęp za kulisy.

§ 14. Napis na teatrze „Kraków — narodowej sztuce" zmienia się na „Kraków — swojej Radzie".

Ale to wszystko wystawiłoby zbyt ujemne świadectwo miastu, które bądź co bądź było kolebką ludzi, wywierających wówczas największy wpływ na naszą kulturę narodową. Nie bez słuszności Leon Schiller nazwał Kraków „najbardziej teatralnym miastem w Polsce". Tu właśnie żyli i tu osiągali szczyty swej pracy artystycznej Antonina Hoffmann i Wanda Siemaszkowa, Stanisław Koźmian, Tadeusz Pawlikowski i Ludwik Solski. W Krakowie kwitło najbardziej postępowe malarstwo i nowatorska literatura. I ten krąg artystów najwyższej miary był — jeśli wolno użyć tego słowa — duchowym zapleczem krakowskiego teatru.

Niełatwa więc była rola dyrektora teatru miejskiego, jak niełatwe jest każde lawirowanie wśród głębokich sprzeczności, wikłających przeżywaną rzeczywistość.

Ludwik Solski był trzecim z kolei dyrektorem młodego, ale bogatego już w tradycję Teatru Miejskiego, nazwanego za czasów jego dyrekcji Teatrem im. Juliusza Słowackiego. Przed nim rządy sprawowali: Tadeusz Pawlikowski, człowiek o którym bez przesady powiedzieć można, że zastał teatr polski drewniany, a zostawił murowany, oraz Józef Kotarbiński, bardzo — mimo liczne wady — zasłużony dla rozwoju naszej sceny. On to bowiem sprawił, że światła sceniczne ujrzały, okrzyczane przez historię literatury jako „Lesedramen", dzieła naszych romantyków.

Już u progu swej dyrekcji natrafił Solski na silną opozycję w prasie i opinii tak zespołu aktorskiego, jak i krakowskiego świata artystycznego, pragnących widzieć u steru życia teatralnego Stanisława Wyspiańskiego. Publiczność natomiast przyjęła go entuzjastycznie Któż zresztą z dyrektorów cieszył się poparciem prasy, której ówczesny poziom wiele pozostawiał do życzenia. Świadectwem tego poziomu może być fakt, że wpływowe pismo „Głos Narodu" po śmierci Wyspiańskiego wydrukowało nie publikowany dotychczas wiersz zmarłego, opuszczając zaczynające go słowa:

„Niech mi nad grobem nikt
nie płacze
Krom jednej mojej żony,
Na nic mi wasze łzy sobacze
Na nic wasz żal spóźniony..."

które redakcja uznała widocznie za niestosowne .

Niezrażony niczym nowy dyrektor z miejsca rzetelnie zabiera się do pracy nad stworzeniem — w/g jego własnych słów — „karnego i zharmonizowanego ensemblu artystycznego". Rozpoczęcie sezonu „Weselem", które święciło właśnie mały jubileusz w postaci 50 (!) przedstawienia na scenie krakowskiej, świadczy o pozytywnym stosunku Solskiego do swego antagonisty w walce o dyrekcję teatralną. W ciągu 8 lat panowania Ludwika Solskiego publiczność krakowska miała możność ujrzeć wiele najpiękniejszych dzieł światowego i polskiego repertuaru teatralnego. Nie ma tu miejsca na ich wyliczanie. Ale można wspomnieć o pośmiertnym cyklu dzieł Wyspiańskiego, o „Orestei" Ajschylosa w przekładzie poetyckim Kasprowicza, o „Księciu Niezłomnym" Calderona w przekładzie Słowackiego, o cyklu Ibsenowskim, o licznych dramatach Fredry, Słowackiego, Bałuckiego, Zapolskiej (prapremiera „Moralności pani Dulskiej"), Żuławskiego, Staffa, o Shakespearze, Molierze, Gorkim, Maeterlincku, Shawie, o debiutach Karola Huberta Rostworowskiego i Ludwika Hieronima Morstina.

Trudno byłoby obecnie wypowiedzieć opinię o grze zespołu aktorskiego w poszczególnych sztukach. Dostępne nam głosy prasy są zbyt sprzeczne, by mogły stanowić wiarogodne świadectwo. W każdym razie faktem jest, że wśród aktorów teatru widzimy najpoważniejsze ówczesne nazwiska: Pomian-Solską, Wysocką, Zelwerowicza, Węgrzyna, Osterwę, Jednowskiego, Jerzego Leszczyńskiego. Często odwiedzają Kraków: Morska, Popławska, Tarasiewicz. Gościnnie reżyseruje kilka sztuk Tadeusz Pawlikowski. Ale nad wszystkim góruje niezmordowana osoba Solskiego. Gra role tytułowe i „ogony", gra kilka postaci jednego wieczoru. Porywa się na rzeczy niesłychanie trudne. Zamierza — w/g relacji Adama Grzymały-Siedleckiego — zorganizować w 1906 r. wędrowną trupę teatralną, która objechałaby większe miasta Kongresówki z „Weselem" Wyspiańskiego. Niestety, autor „Wesela" — oceniający wówczas krytycznie wymowę ideologiczna sztuki — nie udzielił Solskiemu niezbędnego zezwolenia. A szkoda!

Ale Solski był konsekwentnym dyrektorem nie tylko pod względem repertuarowym. Wprowadził on na scenę polską wiele osiągnięć najbardziej postępowych teatrów. Ważnym nowatorstwem inscenizacyjnym było stopniowe likwidowanie osławionych „kompletów" dekoracji — żywcem przeniesionych z wiedeńskiego Burgtheater. Ich miejsce zajmują oryginalne kompozycje scenograficzne takich plastyków, jak Karol Frycz, Franciszek Siedlecki czy Józef Mehoffer. Pochwalne unisono krytyki rozbrzmiało ze szczególną siłą po dwóch dziełach Frycza: oprawach plastycznych „Księcia Niezłomnego" Calderona i „Pęleasa i Melisandy" Maeterlincka. Recenzenci znający teatr zachodni przyrównują je do szczytowych osiągnięć sceny Reinhardta. Oczywiście „komplety" nadal egzystują w teatrze, szczególnie w okresach, gdy strzałka na manometrze kasowym zaczynała groźnie zbliżać się do zera, ale opinia publiczności i prasy coraz częściej potępia te przestarzałe metody inscenizacyjne, a „Zielony Balonik" prawi dyrektorowi złośliwości.

Tak więc dzięki konsekwentnej polityce artystycznej trzech kolejnych dyrektorów — Pawlikowskiego, Kotarbińskiego i Solskiego — zrealizowany został zasadniczy postulat tej sceny: wychowanie publiczności teatralnej. W tym krótkim — 20-letnim — okresie udało się nadrobić zaniedbania całego niemal ubiegłego stulecia, gdy na zachodzie Europy rozwijało się wspaniałe życie teatralne, a Kraków cieszyć się musiał — z łaski miłościwie panujących monarchów, tudzież lokalnych panów Rady — „Małżeństwem z rozkazu", „Widmem krwawym", „Ickiem zapieczętowanym", od wielkiego święta oglądając straszliwe Ducisowskie przeróbki „niescenicznego" ponoć Shakespeare'a lub jakieś lepsze dzieła naszej rodzimej twórczości.

Dowodem na ewolucję, jaką przeszła krakowska publiczność w ciągu owych 20 lat, może być fakt, że wystawiony przez Koźmiana w Starym Teatrze „Książę Niezłomny" Calderona w tłumaczeniu Słowackiego — upadł wskutek braku zrozumienia u widzów. A na pewno nie same tylko dekoracje były powodem szczelnie wypełnionej widowni w 1905 r. Zrozumiałe więc

Wielkim świętem polskiej kultury stał się uroczysty wieczór, który odbył się 5 czerwca w Teatrze Polskim z okazji 100 rocznicy urodzin oraz 80-lecia pracy artystycznej mistrza sceny polskiej Ludwika Solskiego.

Na uroczystość przybyli członkowie Rady Państwa, członkowie Biura Politycznego KC PZPR oraz członkowie Rządu wraz z prezesem Rady Ministrów J. Cyrankiewiczem na czele. Na uroczystości obecni byli także członkowie korpusu dyplomatycznego.

Uroczystość Jubileuszową poprzedził IV akt „Zemsty" Fredry z Solskim w roli Dyndalskiego. Ukazanie się na scenie nestora polskiego aktorstwa powitane zostało gorącą i długą owacją. Po zapadnięciu kurtyny wniesiono trzy wspaniałe kosze kwiatów — od kolegów-aktorów, od Bolesława Bieruta, Aleksandra Zawadzkiego i Józefa Cyrankiewicza.

Przy dźwiękach Mazura Moniuszki na scenie ukazał się Ludwik Solski prowadzony przez M. Ćwiklińską i M. Dulębę.

W imieniu Rządu wyrazy czci i głębokiego uznania oraz najserdeczniejsze gratulacje złożył min. Sokorski. W imieniu aktorstwa polskiego i SPATIF-u przemówił następnie W. Brydziński, który wręczył Solskiemu złotą odznakę SPATIF-u. Serdeczne życzenia od literatów polskich przekazał St. R. Dobrowolski.

Serdeczne pozdrowienia od radzieckiego świata teatralnego przekazał Mistrzowi ludowy artysta RFSRR, laureat Nagrody Stalinowskiej — Łukianow. Wyrazy głębokiej czci złożyli kolejno: wybitna francuska artystka dramatyczna Valentine Tessier, aktor i reżyser Deutsches Theater w Berlinie Friedrich Kühne, reżyser i aktor angielski Andre van Gyseghem, aktor i reżyser Burgtheater w Wiedniu Otto Tressler, przedstawiciel Ministerstwa Kultury CSR dr Jan Kopecky oraz znany aktor i reżyser słowacki Andrej Bagar.

Wzruszony gorącymi wyrazami czci Ludwik Solski podziękował za uczczenie jego pracy artystycznej oraz za wysokie odznaczenie — Order Budowniczego Polski Ludowej — jakim Polska Ludowa nagrodziła jego wielki trud. Swe piękne przemówienie zakończył Ludwik Solski okrzykami: „Niech żyje braterstwo narodów", „Niech żyje pokój". Zamieszczone przez nas zdjęcie przedstawia moment, gdy Przewodniczący Rady Państwa Aleksander Zawadzki dekoruje Ludwika Solskiego Orderem Budowniczego Polski Ludowej.

Fot. CAF

Stanisław Wyspiański — Ludwik Solski w roli Władysława Jagiełły — pastel. („Nawojka" Stanisława Rosowskiego w Teatrze Miejskim we Lwowie. Rok 1901)

nie między krótszymi lub dłuższymi okresami repertuaru kasowego — złożonego przede wszystkim z lekkich fars francuskich, będących magnesem dla burżuazyjnej publiczności — następowały szczytowe osiągnięcia teatru. A tych znamy niemało.

Poza tym Solski — sławny aktor — zdawał sobie sprawę, że jego osoba w każdej roli wywoła napływ publiczności, tłumnie napełniającej teatr, by ujrzeć nową kreację cenionego Mistrza. Wykorzystał więc tę swoją sławę dla podreperowania finansów teatralnych i grał, ile mu tylko jego niespożyte siły pozwalały.

Ale ta polityka repertuarowa spotkała się z ostrymi atakami prasy, która nazywa ją „gospodarką rabunkową". Trudno jednak było, przy zasadzie cotygodniowej (!) premiery, zachować wyższy poziom programowy. A teatr w każdym razie jest pełny. Dowody tego znajdziemy w sprawozdaniach komisji teatralnej, która zmuszona jest przyznać, że publiczność „uczęszcza do teatru tak gromadnie, jak jeszcze nigdy nie uczęszczała".

Solski trzykrotnie podwyższył gaże personelowi aktorskiemu i technicznemu. Niemniej jednak były one nadal niskie, o wiele niższe niż w Warszawie czy we Lwowie.

Przez długi też czas nie uregulowana była kwestia gaży dla adeptów scenicznych. Szczególnie ciężko odczuwały to aktorki — zmuszone w owych czasach własnym sumptem zaopatrywać się w kostiumy. Komisja teatralna ustaliła później minimum płacy: 100 koron. Niewielka ta suma świadczyć może o nikłości ówczesnego uposażenia adeptów.

Niezałatwiona była też nadal — od dawna aktualna — sprawa emerytury dla aktorów. Istniał wprawdzie poważny fundusz emerytalny — w r. 1911 wynoszący 117.000 koron — jednak z winy władz austriackich sprawa nie posuwała się naprzód. Rezultatem tego były bezustanne „migracje aktorskie", na których — rzecz prosta — Kraków nieszczęśliwie wychodził.

Nadszedł wreszcie smutny dla Krakowa sezon 1912/1913, gdy powstał w Warszawie Teatr Polski pod dyrekcją Arnolda Szyfmana. Większość aktorów Teatru im. Słowackiego opuściła wtedy Kraków. Do Krakowa wraca wówczas Tadeusz Pawlikowski, by — najpierw wespół z Solskim, potem samodzielnie — pozostać do śmierci u steru teatru, którego był pierwszym dyrektorem. W rok później Ludwik Solski przenosi się do Warszawy — gdzie został kierownikiem Teatru Rozmaitości — pozostawiając na zawsze wśród publiczności krakowskiej pamięć swego wielkiego talentu.

W Panu Dr Antoniemu Brayerowi dziękuję serdecznie za okazaną mi pomoc i cenne rady. (A.Ł.)

MIKOŁAJ BIESZCZADOWSKI

Jubileusz Aktora

Szemrzą karty albumu — żywy głos w nich dźwięczy
I korowód z tysiąca złożony postaci
Przeciąga — jak po scenie — w narodu pamięci;
Wchodzi Wiarus i milcząc dłoń do czapki wznosi,
Tłusty Falstaff schylony nad pucharem wina,
Zgorzkniały Alcest oto już przysłania oczy,
W tumulcie pretorianów samotny trwa Cezar
I Judasz z Iskariotu przelicza grosiwo,
Fryderyk stuka laską, jak lis patrzy chytrze,
Chudogęba się krzywi na palcach podchodząc,
Ksiądz Piotr unosi ramię — świat krzyżem przeżegna.
Z rąk Cyda pada brzęcząc zakrwawiony miecz.

Lecz oto — popatrz — maskę zdejmuje artysta:
Stuletnia twarz człowieka, w której ogień gorze
Młodzieńczego zachwytu, spogląda jak orzeł.
Chwałę wielkiej twórczości z oczu tych odczytaj
Prawnuku, skłoń się nisko i bierz ją za przykład
Osiągnięć nieustannych — zwycięstwa nad czasem.

Kazimierz Sichulski — Ludwik Solski w roli Fryderyka Wielkiego w sztuce Adolfa Nowaczyńskiego „Fryderyk Wielki" w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. (Rok 1910)

ANDRZEJ ODOLAŃSKI

O FILMACH DLA DZIECI

PODCZAS tegorocznych dni dziecka do programów kinowych wprowadzono zestaw nowych polskich filmów rysunkowych. Są to „Zbuntowane rysunki", „Kimsobo-podróżnik" i „Przygody Gucia Pingwina". Przeznaczone są one dla dzieci w wieku 8 — 11 lat (przyjmując podział według przystosowania do lat, używany na festiwalach międzynarodowych). Filmy te — trzeba od razu stwierdzić — rozczarowują, zwłaszcza po oglądanych u nas kreskówkach czeskich i radzieckich. Poza „Zbuntowanymi rysunkami" pozostałe dwa mają nieciekawą fabułę, czy, jak w wypadku „Kimboso-podróżnika", wręcz niestrawny tekst literacki. Poziom techniczny tych filmów jest niżej niż przeciętny: animacja prymitywna, nagranie dźwięku, a zwłaszcza dobór głosów do partii dialogowych nieprzyjemny, kolor prymitywny — ma się wrażenie, że filmy są wprost brudne. Opracowanie plastyczne poza „Zbuntowanymi rysunkami" — bez cienia inwencji.

W ciągu kilku lat pracy naszego studia filmów rysunkowych nie mieliśmy dotychczas pozycji godnej uwagi; z około dziesięciu wyprodukowanych tytułów zaledwie dwa lub trzy wychodziły poza przeciętność plastycznego i literackiego opracowania. Jakość techniczna u wszystkich była poniżej poziomu. W grupie filmów kukiełkowych, liczebnie jeszcze mniejszej, wyróżnia się jedynie bajka „O smoku i Krakusie".

Trzeba powiedzieć, że przystępując w 1946 roku do organizacji produkcji filmów rysunkowych i kukiełkowych nie mieliśmy ani doświadczeń, ani wyszkolonych kadr, ani bazy technicznej. Po ośmiu latach poza zapałem i wytężonym wysiłkiem realizatorów nie uzyskaliśmy nic. W tej dziedzinie produkcji filmów zadowalające wyniki osiągnąć można jedynie w oparciu o doskonale wyposażoną bazę techniczną i doświadczonych pracowników. Ale pod tym względem nie wykorzystaliśmy doświadczeń choćby naszych najbliższych sąsiadów. Nie pomoże mobilizowanie do współpracy wybitnych literatów, plastyków czy kompozytorów, na nic pójdzie wysiłek realizatorów, jeśli nie osiągniemy w filmach rysunkowych i kukiełkowych wymaganej przez współczesnego widza precyzji technicznej, jeżeli produkcja nie wyjdzie poza progi „chałupnictwa".

Nieodłączna od tego jest także sprawa ilościowego przełomu. Ale ponieważ to już dotyczy naszej produkcji generalnej, nie odbiegajmy od tematu dziecięcego, zatrzymajmy się na twierdzeniu, że dzieci prawie nie oglądają polskich filmów, że import tytułów zagranicznych jest również nie wystarczający, że w porównaniu...

*

W ZSRR od 1936 roku istnieje wytwórnia „Sojuzdietfilm", zajmująca się produkcją filmów dla dzieci i młodzieży. W szeregach pracowników wytwórnia skupia wybitnych pisarzy i reżyserów filmowych; z wytwórnią współpracują także wybitni realizatorzy, jak np. było z Eisensteinem. Wytwórnia ta nie produkuje filmów rysunkowych i kukiełkowych — gdyż te realizuje się w specjalnych, odrębnych studiach — ale filmy z aktorami, przeznaczone specjalnie dla młodocianej widowni. Filmy te często nie ustępują pod względem zarówno technicznym, jak i artystycznym, filmom dla dorosłych. Filmy produkowane w „Sojuzdietfilmie" dzielą się na szereg grup w zależności od wieku dzieci, dla których są przeznaczone. Chodzi o to, aby wszystkie dzieci były należycie obsłużone. Ekranizuje się znane baśnie („Konik Garbusek", „Czarodziejskie ziarno"), ulubione przez młodzież powieści („Dzieci kapitana Granta", „Piętnastoletni kapitan", czy „Tajemnicza wyspa" wg Verne'a, „Samotny biały żagiel" i „Syn pułku" wg Katajewa, „Timur i jego drużyna" i „Czuk i Hek" wg Gajdara, „Urwis Gawroche" wg Hugo, „Biały kieł" wg Londona) czy wreszcie filmy na tematy aktualne z życia młodzieży, jak „Beztroskie lata", „Uczennica la", „Lermontow", „Saławat, wódz Baszkirów", „Pociąg jedzie do Moskwy", „Dzielny Gajczi", „Czerwony krawat" itd.

Pokazy filmów dziecięcych i młodzieżowych odbywają się w specjalnych kinach, które posiadają stolice republik i większe miasta, lub na specjalnych seansach. Dużą wagę przywiązuje się do dyskusji i listów młodocianej widowni, biorąc je za podstawę planów produkcyjnych. „Sojuzdietfilm" w ciągu kilkunastu lat swego istnienia wyprodukował kilkadziesiąt filmów pełnometrażowych dla dzieci i młodzieży.

Drugim krajem, w którym do zagadnienia produkcji filmów dziecięcych przywiązuje się tak dużą wagę, jest Anglia. W roku 1943 przy monopolistycznej wytwórni J. A. Ranka założona została specjalna sekcja zajmująca się produkcją filmów dla dzieci i młodzieży — Children Films Foundation, od 1951 roku przekształcona w ogólnoangielską Children's Entertainment Films. Children Films Foundation w latach 1944 — 1951 zrealizowała między innymi dziewiętnaście pełnometrażowych filmów fabularnych, 11 krótkometrażowych, 3 filmy przyrodnicze, 16 geograficznych, 76 periodyków filmowych. Widownia dziecięca w Anglii zorganizowana jest w klubach filmowych, które skupiają około pół miliona dzieci regularnie uczęszczających do specjalnych kin. Nad produkcją młodzieżową czuwa specjalna rada, tzw. Advisory Council, w skład której wchodzą wybitni pedagodzy i naukowcy. Przy wytwórni znajduje się także specjalny ośrodek badań naukowych. Na terenie Anglii pionierem w dziedzinie organizacji produkcji i badania odbiorczości filmów jest Mary Field, która wyniki swej wieloletniej pracy opublikowała w wydanej we Włoszech w 1952 roku książce „La producione di film per ragazzi in Gran Bretagna". Włochy wprawdzie nie posiadają jeszcze zorganizowanej produkcji filmów dziecięcych, ale przodują w tej chwili w organizacji badań naukowych nad tym typem filmów. Z ich inicjatywy powstało międzynarodowe stowarzyszenie CIDALC (Centro Internazionale del Cinema Educativo e Culturale) ,które specjalną opieką otacza zagadnienie filmu dziecięcego. CIDALC wydaje specjalny kwartalnik (Cinema Educatif et culturel), organizuje zjazdy i konferencje międzynarodowe oraz festiwale filmowe, nagradza wyróżniające się filmy poświęcone specjalnie dzieciom i młodzieży; między innymi na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dziecięcych w Wenecji przyznawana jest specjalna nagroda CIDALC, tzw. „Złota gondola" (na ostatnim V Festiwalu w Wenecji w ub. roku jedną z głównych nagród otrzymał wyświetlany u nas film radziecki „Czuk i Hek"). Rzymski ośrodek CIDALC, kierowany przez znanego krytyka filmowego Mario Verdone, wydał szereg prac na temat filmu dziecięcego i młodzieżowego. Z CIDALC, którego członkami są w tej chwili m. in. Francja, Włochy, Niemcy, Brazylia, Portugalia, Belgia, Monaco i Szwajcaria, współpracuje również sekcja filmu dziecięcego przy UNESCO, na czele której stoi Henry Stork.

Dalej można wymienić Czechosłowację

„Przygody Gucia Pingwina"

(tu ilościowo wyjątkowo przeważają filmy kukiełkowe), Stany Zjednoczone, Francję, Szwecję, dziesiątki Ciné-clubów, „Ecran des jeunes" itd.

*

OKAZUJE się, że nie pierwsi paramy się z zagadnieniem filmów dla dzieci, że mamy przed sobą przeorany ugór, ba, nasi poprzednicy mają już niemały dorobek. Kwestia odrobienia tego zaniedbania nie jest łatwa i nie szybko da się usunąć. Nie wystarczy poprawa technicznego stanu bazy, zwiększenie ilości zrealizowanych tytułów — trzeba także wzorem innych zorganizować prace badawcze w zakresie psychologii odbioru. Trzeba wypracować specjalny system pracy realizatorskiej: praca z aktorem — dzieckiem, zagadnienie opracowania fabuły, oprawa wizualna (montaż, kąty ujęcia kamerą). Zwłaszcza zagadnienie filmu dla dzieci wymaga u nas szczególnie troskliwej opieki, gdyż poza ciekawymi filmami młodego reżysera Nasfetera „W fabryce" i „Staś spóźnialski" — nic w tej grupie nie mamy.

Departament Repertuaru i Studiów i Szkolenia Kadr CUK'u oraz sekcja filmu PIS powinny o tej sprawie pomyśleć. Kilka krótkometrażówek rysunkowych i kukiełkowych, kwartalna „kronika harcerska", które w ciągu rocznej produkcji wypełniają 2-godzinny seans — to jest zero w stosunku do zapotrzebowania. A tymczasem niech CWF zakupuje więcej zagranicznych pozycji — aby w ten sposób pokryć niedobór. Młodego widza jest znacznie łatwiej wychować i o tym przy okazji warto przypomnieć...

„Kimsobo podróżnik"

Listy z niedaleka

W towarzystwie Geniusza

KTOŚ, podczas mojej nieobecności, przyniósł arcydzieło, rozłożył na stole, otwarte na którejś stronie, a obok zostawił kartkę z napisem „Porozmawiaj z Geniuszem, życzę ci miłej godziny w jego towarzystwie".

Zapaliłem więc świece w moim trójramiennym świeczniku, zasiadłem wygodnie w głębokim fotelu i uniósłszy ku oczom książkę, w złotawym i ciepłym blasku świec począłem czytać Fausta.

Faust — czy zdajesz sobie sprawę jaki dźwięk jest w tym słowie? Ile w nim treści?

To nie tylko jeden ze szczytów literatury europejskiej, równy co do znaczenia tragediom antyku i dziełom Szekspira, Faust — to wielka synteza — jedno z tych rzadkich osiągnięć ludzkiej myśli, gdzie piękno i prawda, urok i powaga, precyzja sformułowań i polot obrazu poetyckiego osiągają stopień doskonałości.

Ale zanim Faust doszedł do takiej pełni, upłynęły stulecia. — Bo legenda o czarnoksiężniku, który za cenę władzy nad żywiołami sprzedał diablu duszę, jest prastara i ma zawiłą historię. Posłuchaj:

Doktor Faust jest postacią historyczną. Urodzony pod koniec XV wieku w okolicach Wittembergi reprezentował typ ówczesnego mędrca, w którego różnorodnej i zasobnej wiedzy mieszały się i przenikały wzajemnie elementy nowej, rodzącej się wtedy nauki o świecie z wiedzą tajemną, magią i umiejętnością wywoływania duchów.

Z Niemiec, historia średniowiecznego czarnoksiężnika przedostaje się do Anglii. Tutaj najgroźniejszy rywal Szekspira, wielki dramaturg Marlowe tworzy z niej potężny utwór dramatyczny o życiu i śmierci doktora Fausta narzucając swojemu bohaterowi siłę buntu i pasję dociekań.

Otóż ten utwór angielskiego poety — doznając różnych losów, zmieniany dowoli, pełen wstawek i przeróbek, cieszył się trwałym powodzeniem na scenach Wyspy i kontynentu. Sztuka Marlowa, grana przez liczne trupy teatrów wędrownych wraca do Niemiec. Nową jej wersję pisze dopiero w XVIII stuleciu wielki znawca teatru i znakomity dramaturg, Gotthold Ephraim Lessing.

Ale dopiero Goethe stworzył arcydzieło z legendy faustowskiej. Będzie nad nim pracował niemal przez całe życie — życie, zgodzisz się ze mną, długie i nie bezczynne. Od czasu wczesnego dzieciństwa, od chwili gdy ujrzał Fausta na scenie teatrzyku marionetek, ulegając bez reszty czarom niesamowitej baśni, przez lata młodości, gdy jako dwudziestoletni młodzieniec szkicuje pierwszy pomysł późniejszej tragedii, aż po ostatnie dni życia, myśl genialnego poety będzie krążyć wokół zagadki człowieka, który zawarł pakt ze złym duchem.

Faust, taki, jakim go stworzył Goethe jest próbą rozwiązania tajemnicy. Spójrz, jak zło i dobro toczy nieubłagany bój o najcenniejszą zdobycz — o ludzką duszę. Ta walka zmienia się w sąd o wymiarach kosmicznych, teatr wyrasta aż do nieba, udział w nim wezmą ludzie, zjawy, anioły, demony i mity. Możesz śmiało zawołać: Oto tragedia! Niewiele podobnych odnajdziesz w historii. Zło upostaciowane w osobie niszczycielskiego demona, Mefistofelesa, mami pokusą władzy i pysznych tryumfów, libido dominandi jest potężna i blaskom jakie roztacza nie łatwo się oprzeć. Lecz jaka jest istota zła — w czym zawarta i jakie nosi miano? Goethe jasno rozsądza sprawę; zło jest wszystko to, co wsteczne i ciemne, egoistyczne i znikome, gnuśne i nieprawe — zło, to słabość i małość choćby się przyoblekły w urok wielkości i mocy.

Rzecz ciekawa, że właśnie ten krąg zagadnień, ocierających się o metafizykę, stanowi temat ulubiony literatury niemieckiej, i najwybitniejszy ze współczesnych jej twórców, Tomasz Mann powraca do niego często. Pamiętasz „Czarodziejską Górę", którą niedawno przeczytaliśmy na nowo? I tam również pokazano nam dramatyczną walkę o duszę młodego Niemca, Castorpa — walkę, jaką stoczyły dwie idee i dwa światy. W jednej z ostatnich książek Manna, w jego „Doktorze Faustusie" stara legenda jeszcze raz nabiera życia, jeszcze raz spisano dzieje zmagania się dwu wrogich sił. Wielki artysta ostrzega w tej książce ludzkość przed pokusą nowego szaleństwa.

Może mi zarzucisz, że problem faustowski daleki jest od współczesności i obcy człowiekowi naszej epoki, ale proszę, przejrzyj tylko gazety, posłuchaj radia. Usłyszysz przenikliwy szept Mefistofelesa. Zamorski imperializm straszy ludzkość narzędziem powszechnego zniszczenia.

Widzisz — dlatego tak dobrze pobyć trochę w towarzystwie geniusza, przez chwilę posłuchać jego myśli — poczytać Fausta. Znajdziesz w nim niejedną naukę, przestrogę i napomnienie, znajdziesz wiarę w zwycięstwo dobra. Bo tragedia Goethego kończy się optymistycznie.

Ale już pieje kur i zjawy poczynają pierzchać. Na stole została tylko księga pełna mądrych słów i mądrego, trochę ironicznego i głęboko wyrozumiałego uśmiechu. Zamykam „Fausta". W powietrzu dźwięczy jeszcze ostatni werset. Aby go zapamiętać, warto było poświęcić noc nad książką. Słyszysz, jak śpiewają chóry aniołów unoszące ku niebu duszę Fausta?

Wyzuty ze złych obierzy, szlachetny duch wśród ludzi
„zbawion być może kto się dążeniem wieczystym trudzi"
a jeśli miłość ma go w swej pieczy płynąca z góry
witać go będą słowem serdecznym anielskie chóry).*
Dobranoc, mój drogi
Eryk.

*) przekład Emila Zegadłowicza.

KILKA SŁÓW

o muzyce

150-LECIE URODZIN M. I. GLINKI

1 czerwca w Związku Radzieckim obchodzono 150 rocznicę urodzin wielkiego kompozytora rosyjskiego Michała Iwanowicza Glinki. W Moskwie zorganizowano w Teatrze Wielkim uroczysty wieczór poświęcony temu muzykowi. Przewodniczący Jubileuszowego Komitetu Dymitr Szostakowicz w słowie wstępnym m. in. powiedział:

„Dziś mija 150 lat od dnia urodzin wielkiego rosyjskiego kompozytora i demokraty, twórcy klasycznej muzyki rosyjskiej. Utwory Glinki rozsławiły jego imię na całym świecie i przyczyniły się niewątpliwie do rozwoju światowej kultury muzycznej". Charakteryzując dalej twórczość Glinki, Szostakowicz podkreślił głęboką ludowość, niesłychaną poetyczność muzycznego języka artysty.

CENNY DAR DLA TOWARZYSTWA IM. FRYDERYKA CHOPINA

6 bm. w Żelazowej Woli odbyła się uroczystość przekazania Towarzystwu im. Fryderyka Chopina daru Wszechzwiązkowego Towarzystwa Łączności Kulturalnej z Zagranicą (WOKS) w postaci magnetofonu oraz zbioru nagrań utworów Chopina w wykonaniu czołowych pianistów radzieckich.

Towarzystwo im. Fryderyka Chopina natomiast przekazało pełnomocnikowi WOKS-u w Polsce dar w postaci pamiątek chopinowskich.

WIZYTA ARTYSTÓW RADZIECKICH W SZWECJI

Ze Sztokholmu donoszą, że przybyła tam grupa radzieckich artystów pod kierownictwem dyrektora Moskiewskiej Filharmonii Państwowej M. Biełocerkowskiego. Artyści radzieccy w ciągu czerwca występować będą w różnych miastach Szwecji. W skład tej grupy wchodzą — skrzypek E. Gracz, tancerka G. Izmałowa, artyści baletu L. Bogomołowa, S. Własow i inni.

o plastyce

DZIEŁA PICASSA Z MUZEÓW RADZIECKICH W PARYŻU

W połowie czerwca w Maison de la Pensée Française w Paryżu otwarto wystawę obrazów Picassa wypożyczonych z muzeów w Leningradzie i Moskwie. Są to dzieła namalowane w latach 1900 do 1914 r. należące w twórczości Picassa do okresu niebieskiego, różowego i murzyńskiego, oraz obrazy z epoki kubizmu. Jako uzupełnienie przy rue de l'Université otwarto drugą wystawę, na której zebrano rysunki Picassa z tej epoki.

„MANET I JEGO WSPÓŁCZEŚNI"

Wystawa pod tym tytułem otwarta w Tate Gallery w Londynie cieszyła się wielkim zainteresowaniem wśród angielskiej publiczności. Pokazano na niej obrazy wypożyczone przez muzeum w Luwrze, dzieła z National Gallery i Tate Gallery oraz trzy sławne obrazy Maneta z Courtauld Collection.

Kiedy stało się wiadome, że „Jeu de Paume" — dział Luwru, który mieści dzieła francuskich impresjonistów ma być częściowo zamknięty z powodu remontu, zarząd Tate Gallery w Londynie zwrócił się z prośbą do władz francuskich o wypożyczenie dzieł Maneta, aby publiczność angielska mogła poznać całokształt twórczości tego wielkiego malarza. Jakkolwiek najsławniejsze dzieła Maneta, takie jak „Olimp" i „Balkon" okazały się zbyt delikatne, aby odbyć tak daleką podróż, wystawa londyńska daje przegląd dzieł tego impresjonisty ze wszystkich niemal okresów jego twórczości.

Muzeum w Luwrze wypożyczyło także dzieła malarzy współczesnych Manetowi: Londyńczycy więc mogli obejrzeć obrazy Renoira, Toulouse-Lautreca, Fantin-Latoura, Moneta, Degasa i wielu innych przedstawicieli francuskiego impresjonizmu.

o teatrze

„PÓŹNA MIŁOŚĆ" W TEATRZE LUDOWYM

W warszawskim Teatrze Ludowym idzie od pewnego czasu sztuka A. Ostrowskiego „Późna miłość" Reżyser jej dyr. Krystyna Zelwerowicz, posługując się umiejętnie grą światła i cienia oraz efektami dźwiękowymi interesująco wydobyła jakiś dickensowski nastrój tego — zakończonego szczęśliwie zwycięstwem dobra — dramatu biednych ludzi z przedmieścia. Wśród na ogół wyrównanego tym razem zespołu szczególnie żywe postacie negatywne stworzyły B. Kościeszanka (wesoła wdówka Lebiedkina) i H. Gruszecka (stręczycielka Szabłowa). Parę amantów grali H. Bielska — Ludmiła ,oraz Cezary Julski, o świetnych warunkach, lecz niezbyt wyraźnej linii swej roli Mikołaja. Jako następną premierę Teatr zapowiada „Młyn" Lope de Vegi.

UCZESTNICY BITWY POD STALINGRADEM O SZTUCE BECHERA

Już po raz trzeci odbyła się w lipskich Kammerspiele dyskusja z widzami o „Bitwie zimowej" Bechera, która stała się ogromnym sukcesem teatru — jest już ponad 60 000 zamówień na przyszłe przedstawienia. W dyskusji zabrało również głos kilku uczestników bitwy pod Stalingradem, potwierdzając autentyzm wydarzeń i atmosfery widowiska.

PRASA BERLIŃSKA O TAŃCU UŁANOWEJ

Berlińskie występy artystów radzieckiego baletu, na które złożyły się kompozycje do muzyki Lully'ego, Glinki, Straussa, Prokofiewa, Chaczaturiana, dały berlińskim widzom pojęcie o ogromnej skali ich artystycznych możliwości. Szczególny zachwyt wywołał III akt „Romea i Julii" Prokofiewa, którego inscenizacja odsłoniła w sposób nowy humanistyczną treść ideową szekspirowskiego dramatu, zwycięstwo miłości nad klasowym przesądem. „Mistrzowski taniec H. Ułanowej — pisze „Neues Deutschland" — to szczyty sztuki choreograficznej. Każdy jej arabesk, piruet, chalné, każdy ruch rąk, mimika — powstaje z głębi wewnętrznego przeżycia. Najwyższa technika w każdym wypadku służy jedynie wyrażeniu złożonych przeżyć i uczuć".

OPERA BRITTENA „PETER GRIMES"

wystawiona w r. 1948 gościnnie przez zespół „Covent Garden" w Paryżu, została obecnie wykonana po francusku w Bordeaux na inaugurację tamtejszego Festiwalu Sztuki. Oparta na romantycznym poemacie, opera ukazuje środowisko rybaków karzących bogacza za okrucieństwo wobec wyzyskiwanych przezeń marynarzy. Wielką rolę gra w tej operze morze, oddane z pomocą orkiestracji potężnej i sugestywnej, stary kościółek, z którego dochodzą religijne śpiewy z głosem solistki i tłum, w którego chóralnych dialogach pojawiają się często elementy folkloru i ludowego humoru. Inscenizatorem dobrego spektaklu był Lalande, tragicznie ujętą rolę tytułową odtworzył Franz Vroons.

o filmie

FILM O V. VAN GOGHU

We Francji w ostatnich czasach modne stały się filmy poświęcone postaciom wybitnych malarzy. I tak zrealizowano m. in. film o Toulouse-Lautrec'u, o Picassie. Ostatnio dowiadujemy się, że trwają prace nad filmem o van Goghu. Kręci go wybitny reżyser francuski Jean Renoir. Rolę tytułową powierzono amerykańskiemu aktorowi van Helflinowi, w roli przyjaciela Vincenta — Paul Gaudina — wystąpi Gerard Philipe.

„KEAN" — DUMASA NA EKRANIE

Znana sztuka dramatyczna Dumasa „Kean" jest jakby stworzona do filmu. Nic więc dziwnego, że wzbudziła zainteresowanie dwu wybitnych reżyserów, którzy w najbliższym czasie przystąpią do jej realizacji. Jedna adaptacja „Keana" zostanie nakręcona przez francusko-radzieckie towarzystwo filmowe. w reżyserii Pierre Brasseur, druga przez wybitnego reżysera angielskiego (m. in. twórcę „Hamleta") Oliviera, który wystąpi również w roli tytułowej.

JESZCZE JEDEN KLASYK FILMOWANY

Pod kierownictwem francuskiego reżysera Louisa Daquin rozpoczęto realizację filmu opartego na noweli Maupassanta „Bel ami". Scenariusz napisali: Louis Daquin, Roger Vailand i Vladimir Pozner. Film ma być nakręcony w dwu wersjach: niemieckiej i francuskiej. W rolach głównych wystąpią francuscy i niemieccy aktorzy: Johannes Heesters, Grete Schörg, Jean Danuet, Anne Vernon, René Faure.

o wszystkim

BARKI SPRZED 5 TYSIĘCY LAT POD PIRAMIDĄ CHEOPSA

W ostatnim czasie na południe od Kairu pod wielką piramidą w Gizeh odkryto komorę podziemną, w której znaleziono drewnianą łódź, tzw. „słoneczną" pochodzącą sprzed blisko pięciu tysięcy lat. Łódź ta, według wierzeń Egipcjan, miała odwieźć w zaświaty duszę faraona Cheopsa. Trochę dalej w galerii znajdowała się druga barka podobna, ale zamknięta.

W kilka dni później egipski archeolog dr Gomeina odkrył wewnątrz niewykończonego stopnia piramidy Sakkara komorę, w której znajdował się alabastrowy sarkofag sprzed 4.700 lat. Zawartość sarkofagu nie jest jeszcze zbadana, istnieje jednak przypuszczenie, że zawiera on szczątki któregoś z faraonów z III dynastii.

Archeologowie egipscy uważają, że te odkrycia mają bardzo poważne znaczenie i pozwolą na zapełnienie luk w historii starych dynastii. Uważa się, że jest to jedno z najbardziej doniosłych odkryć archeologicznych ostatnich czasów.

CENNE ODKRYCIE ARCHEOLOGICZNE W NOWEJ HUCIE

Na terenie Nowej Huty dokonano ostatnio ciekawych odkryć. W Pleszowie natrafiono na osadę pochodzącą z okresów neolitycznego, łatońskiego i rzymskiego, a więc od około roku 2.500 przed narodzeniem Chrystusa do około 500 roku naszej ery. Oprócz grobów odkryto tam piece garncarskie z okresu późnorzymskiego. W osadzie znaleziono siekiery kamienne, siekierę kościaną, motyki rogowe z okresu neolitu, siekiery brązowe z okresu brązu oraz wielkie ilości ceramiki.